Odeszła Brigitte Bardot – legenda kina, ikona francuskiej rewolucji obyczajowej
STR. 3

Aida Kosojan-Przybysz: W Nowy Rok wejdź trzeźwo, na prostych nogach
STR. 12-13

Ermanno Furlanis: Robiłem pizzę dla Kim Dzong Ila, ale dla Putina bym nie zrobił
STR. 16-17

Poniedziałek 29.12.2025 | Nr 104 (2 511) | Rok 80 | Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT) | Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

magazyn na sylwestra

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Dobrej zabawy i roku obfitości

9 771898 308011 01

REKLAMA 0111419939

eprasa.pl 6521773fd7

AUTOPROMOCJA 0110987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek 2.01 **noworoczny Puls**

Najwięksi polityczni wygrani i przegrani 2025 r. Kto zasługuje na nagrodę, a kto na naganę – w Polsce i globalnie, na świecie?

Janusz Michalczyk
publicysta

PO CO NAM DEMOKRACJA?

Zastanawiałem się, czego bym chciał jako obywatel, Polak. Pojawia mi się na pierwszym miejscu słowo „współpraca". (...) Współpraca to jest umiejętność ludzi mądrych, głupi nie są do niej zdolni - tak do parlamentarzystów na spotkaniu opłatkowym w Sejmie przemówił kilka dni temu abp Adrian Galbas, metropolita warszawski. Sugestia niby prosta i oczywista, ale trudna dziś do przyjęcia, bo w polityce kotłuje się niemal każdego dnia. Kto z kim ma zgodnie i dla ogólnego dobra współpracować? Prezydent z premierem? Koalicja rządząca z opozycją? Episkopat z Ministerstwem Edukacji Narodowej?

Rozejrzyjmy się wokół. Europejska demokracja, dla której fundamentem jest współpraca głównych sił politycznych, znalazła się w opałach, bo Amerykanie wzięli kurs na autokrację, by skutecznie przeciwstawić się Chińczykom i Rosjanom. Musimy się zmierzyć z diagnozą, że Zachód przegrywa ze Wschodem, dla którego indywidualizm i prawa człowieka to dziwaczne koncepcje, utrudniające zarządzanie państwem i międzynarodową rywalizację. Z różnych stron pada wezwanie, by przemyśleć demokrację, bo inaczej system się załamie, po władzę sięgną nacjonaliści i rozwalą Unię Europejską. Karol Fjałowski, jeden z bystrzejszych komentatorów na You Tube, rysuje analogię pomiędzy sytuacją Europy i Rzeczpospolitej przed rozbiorami, gdy wewnętrzne konflikty doprowadziły do destrukcji państwa. Wówczas nasze terytorium podzielili między siebie trzej sąsiedzi, a teraz grozi nam, że karty w Europie będą rozdawać Amerykanie, Chińczycy i Rosjanie.

Co to jednak znaczy: przemyśleć demokrację? W starożytnych Atenach, a potem w republikańskim Rzymie decyzje podejmowali wolni obywatele, przy czym kobiety i niewolnicy nie mieli głosu, zaś w krytycznych momentach władzę oddawano dyktatorom. Monarchia oświecona padła, gdy bezlitośnie wykorzystywany lud odważył się na rewolucję pod hasłami: wolność, równość, braterstwo. W amerykańskiej konstytucji zapisano prawo każdego do poszukiwania szczęścia. Piękne idee są potrzebne, ale popadnięcie w bezkrytyczny idealizm prowadzi na manowce.

Wciąż warto zastanawiać się, jak z Polski uczynić silniejsze i lepiej zarządzane państwo. Nie lekceważmy wezwań do współpracy, dopóki nie jest za późno.

JAKIE SĄ SKUTKI RZYMSKIEJ PROWIZORKI?

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Jak wiadomo czas na Ziemi wyznaczają nam dwa procesy: ruch obrotowy Ziemi i obieganie przez nią Słońca. Ruch obrotowy wyznacza długość doby (24 godziny) a ruch obiegowy długość roku - czyli odstęp czasu, po jakim Ziemia ponownie pojawi się w tym samym miejscu swojej orbity. Problem polega jednak na tym, że ten okres obiegu Ziemi to nie jest całkowita liczba dni. Rzymianie lubili porządek, a tymczasem Gajusz Juliusz Cezar który od 46 roku p.n.e. rządził niepodzielnie całym imperium rzymskim zastał sytuację, że w owym roku rzymski grudzień wypadał we wrześniu. Wynikało to z faktu, że w Rzymie stosowano kalendarz księżycowy, który zdecydowanie nie zgadzał się z tym słonecznym, wyznaczającym w praktyce pory roku. Cezar skorzystał z rad astronoma greckiego Sosygenesa i postanowił zrobić z tym porządek. Po pierwsze rok 46 p.n.e. wydłużono o 80 dni (trwał on 445 dni), dzięki czemu miesiące wróciły na swoje miejsce w kalendarzu słonecznym.

Po drugie Cezar zarządził, że od tej pory każdy rok będzie trwał 365 dni, ale co cztery lata będzie rok przestępny, który będzie trwał 366 dni. No i Cezar ustalił, kiedy zaczyna się rok - wskazał dzień nazywany w Rzymie Kalendae Janurie czyli właśnie pierwszy stycznia.

Uzasadniał to faktem, że w tym właśnie dniu rządy w Rzymie przejmowali dwaj koleni konsulowie.

Rzymem od 509 roku p.n.e. kiedy obalono ostatniego króla którym był tyran Tarquinius Superbius i ustanowiono republikę - zawsze rządzili dwaj konsulowie. Wymiana konsulów przez ponad 450 lat odbywała się zawsze w dniu 15 marca. Ale zdarzyło się w 153 roku p.n.e., że w Hiszpanii (podbitej dawno i rządzonej przez Rzymian) wybuchło powstanie. Na czele wojsk, które miały stłumić ten bunt powinien stanąć konsul. Ale obaj rządzący wtedy konsulowie byli bardzo marnymi wojownikami, a tymczasem jeden z wybranych już konsulów był wodzem wybitnym. Ale on miał objąć władzę dopiero za 4 miesiące, 13 marca!

Rzymianie byli praktyczni. Postanowili, że w tym roku przejęcie władzy przez nowych konsulów dokonane zostanie w dniu 1 stycznia. Taka sobie zaimprowizowana prowizorka!

Zmiana konsulów nastąpiła, powstanie w Hiszpanii zostało stłumione, ale pojawił się problem - kiedy dokonać kolejnej wymiany konsulów. 15 marca 152 roku p.n.e.? To wtedy bohater z Hiszpanii będzie rządził tylko 4 miesiące - niesprawiedliwie. 15 marca 151 roku p.n.e.? To wtedy będzie rządził za długo. I jako to często z prowizorkami bywa - data zmiany konsulów, a przez to także data rozpoczęcia nowego roku się utrwaliła.

Czy wiedzieliście Państwo , że witając 1 stycznia Nowy Rok, robicie to na skutek rzymskiej prowizorki?

Nawisem mówiąc numer roku też mógłby być zakwestionowany. Rzymianie odliczali lata przyjmując za początek wyliczanki rok założenia miasta. Ale papież Jan I uznał, że to nie jest dobry sposób określania dat i postanowił, że rok narodził Chrystusa będzie początkiem nowej ery i od tego roku będę odliczali swoje daty chrześcijanie.

Ale kiedy się narodził Chrystus?

Ustalenie tej daty zlecił teologowi który się nazywał Dionizjusz Mniejszy. Ten ustalił ową datę narodzin Chrystusa (i początku nowej ery) na rok 753 od założenia Rzymu. Poczynając od tej daty rozpoczęty rok otrzymał numer 2026. Ale Dionizjusz się pomylił o 4 dni i naprawdę powinniśmy witać 2030 rok!

TEMPERATURA ODCZUWALNA

Tadeusz Płatek
publicysta

Pamiętam czasy, w których nie było biometu i „temperatury odczuwalnej". Zacznijmy od pierwszego i żeby było jasne - nie chodzi mi o biometeorologię, która rzeczywiście bada wpływ meteorologii na organizmy żywe, tylko o ten medialny „biomet", który może być korzystny albo nie. Tak się składa, że kilka razy w życiu zapamiętałem jaki miał być biomet. Podali go w radiu, gdy akurat jechałem samochodem podbijać świat. W ważne dla człowieka dni zapamiętuje się o wiele więcej niż w dni zwyczajne. Akurat więc pędziłem do centrum, żeby zdać egzamin na studia. Czułem się znakomicie, pewny siebie byłem, co tu zresztą gadać - zdałem! Nie czekając na wyniki udałem się świętować z przyjaciółmi, choć oni odradzali mi festyn, zanim nie ujrzę wyników na papierze. Mylili się! Powiadam - zdałem - i bawiłem się doskonale, mimo że biomet był niekorzystny.

Fatalny melanż ciśnienia, temperatury i czego tam sobie biometeorologia nie życzy, okazał się dla mnie życiodajnym koktajlem, którego pragnę codziennie, bez względu na aktualnie panującą porę roku.

O ile moda na biomet chyba się kończy, bo występuje on w prognozach coraz rzadziej, o tyle wciąż niesłabnącą popularnością cieszy się „temperatura odczuwalna". Na przykład, gdy to piszę, temperatura, według portalu Interia, wynosi plus jeden stopień Celsjusza, a odczuwalna - minus siedem. Wychodzę na pole i odczuwam, że rzeczywiście jest zimno jak w psiarni. Jest ponadto wstrętnie i słońca nie widać. Biomet oczywiście koszmarny, ale czy ja odczuwam minus siedem? Wracam do domu jak najszybciej, wyszukuję „najzimniejsze miasto na Ziemi", potem wstukuję w Interię „Jakuck", gdzie w tym momencie jest -44. Ale to tylko na termometrze, bo aktualna TEMPERATURA ODCZUWALNA w tym Jakucku to -37. Nie mam pojęcia, jaki tam jest biomet, choć musi być niezły, skoro ludzie wciąż tam żyją. Ciekawe, jak to jest „odczuwać" - 37? Czy wg Interii oni sobie tam rano patrzą na prognozę, widzą liczbę Mickiewicza poniżej zera, po czym otwierają okno i stwierdzają, że... tyle to nie. To jest najwyżej minus 37.

Fatalny melanż ciśnienia, temperatury i czego tam sobie biometeorologia nie życzy, okazał się życiodajnym koktajlem

eprasa.pl 6521773fd7

Nie żyje Brigitte Bardot (1934-2025)

Karolina Wrońska
Kultura

W niedzielę w wieku 91 lat zmarła Brigitte Bardot - legenda kina, gwiazda rewolucji obyczajowej, obrończyni zwierząt .

Urodziła się 28 września 1934 r. w Paryżu. Choć trudno w to uwierzyć, jako dziecko nie była urodziwa. Nosiła aparat ortodontyczny i okulary z grubymi szkiełkami. Nie należała także do orłów w szkole. Zawsze odstawała od swojej siostry, którą - z racji ocen - rodzice faworyzowali.

Jako młoda dziewczyna zaczęła uczęszczać na lekcje baletu. Jak wspominała, właśnie dzięki miłości do tańca zaczęła wierzyć w siebie, dostrzegając atuty swojej urody. Już jako piętnastolatka pozowała dla magazynu „Jardin des Modes", którym zarządzała przyjaciółka jej matki. Rok później jej zdjęcia ukazały się w „Elle", a następnie trafiły na okładkę „Vogue'a".

Podczas jednej z sesji zauważył ją o sześć lat starszy reżyser, Roger Vadim, który zakochał się w Brigitte Bardot bez pamięci. Ona odwzajemniała jego uczucia, jednak rodzice wyrazili sprzeciw, kiedy Vadim oświadczył się ukochanej. Wówczas to 16-letnia modelka po raz pierwszy próbowała ze sobą skończyć.

Po desperackim akcie, rodzice zgodzili się na zamążpójście córki, jednak najpierw miała ona skończyć 18 lat. Para wzięła ślub w 1952 roku.

W tym samym czasie Brigitte Bardot zadebiutowała jako aktorka, grając w „Wiosce w Normandii". Przez kolejne cztery lata pojawiła się jeszcze w kilkunastu innych produkcjach, jednak największą rozpoznawalność zyskała dzięki roli w wyreżyserowanym przez jej męża filmie, „I bóg stworzył kobietę". Nasycona zmysłowością scena, w której tańczy na stole, przeszła do historii kina. Choć wystąpiła przykryta prześcieradłem, film uznano za wielce nieobyczajny. Za jego wyświetlanie w USA groziło nawet więzienie.

Był to jednak przełom w historii kina, Brigitte Bardot rozpoczęła rewolucję obyczajową. Jej typ urody i ubioru naśladowały rzesze kobiet. Zagrała w ponad 50 filmach, zdobywając niezwykłą popularność. Jednak to dzięki roli w „I bóg stworzył kobietę".Bardot ukształtowała swój aktorski wizerunek kobiety-dziecka, niezważającej na obowiązujące normy obyczajowe i konwenanse oraz śmiało je przekraczającej. Stała się symbolem europejskiej rewolucji seksualnej, hołdując zasadzie, że „lepiej nie dochować wierności, niż dochowywać jej wbrew sobie".

Ucieleśniała połączenie dziewczęcości z kipiącym erotyzmem. Luźno puszczone, albo zebrane w koński ogon lub upięte w kok falujące włosy, wysoko natapirowane i podkręcone, niezmiennie potargane, oczy mocno obrysowane czarną kredką, wytuszowane grubo rzęsy, pełne usta, cienka wyeksponowana talia, głębokie dekolty odsłaniające również ramiona (nazwane od jej nazwiska „bardot"), tworzyły bardzo zmysłowy wizerunek. Była naśladowana przez rzesze kobiet na całym świecie. Prezydent Francji Charles de Gaulle nazwał ją „francuskim artykułem eksportowym równie ważnym, jak samochody Renault". Od 1969 roku stała się oficjalną twarzą Marianny - emblematu Francji, któremu od tego czasu swoich rysów użyczają słynne francuskie aktorki. Grała w filmach francuskiej Nowej Fali („Pogarda" Jean-Luca Godarda), dramatach („Prawda" Henri-Georges'a Clouzota), filmach lżejszych i komediowych. Zagrała łącznie w 56 filmach i zaśpiewała ponad 80 piosenek.

W połowie lat 70. Bardot wycofała się z pracy w filmie, by działać na rzecz ochrony środowiska, głównie ochrony dzikich zwierząt. W 1986 roku założyła fundację swojego imienia. Tłumaczyła wtedy, dlaczego rozstała się tak wcześnie z kinem: „Dałam swoją młodość i urodę mężczyznom, dziś oddaję moje doświadczenie i to, co we mnie najlepsze, zwierzętom".

Ostatnie lata spędzała w domu w Saint-Tropez. Na pytania o wiek i starość zawsze odpowiadała, że nie myśli o starzeniu się, ani także nie wraca myślami do swojej niegdysiejszej kariery aktorskiej.

Bardot budziła polemiki swoimi poglądami politycznymi, sympatyzującymi ze skrajną prawicą. Wielokrotnie w artykułach, listach otwartych i książkach ostrzegała przed „islamizacją" Francji, mówiła, iż muzułmanie „narzucają swoje barbarzyńskie zwyczaje" jej ojczyźnie. Za tego rodzaju wypowiedzi skazywano ją kilkakrotnie na grzywny. Krytycznie wypowiadała się również o feminizmie i o ruchu MeeToo. PAP

FOT. EAST NEWS

Wysoko natapirowane włosy i oczy mocno obrysowane czarną kredką to był znak rozpoznawczy Brigitte Bardot

REKLAMA 0011454990

eprasa.pl 6521773fd7

CZY LOSY WOJNY ROZSTRZYGNĄ SIĘ W TYM ROKU?

– Losy wojny, którą Rosja prowadzi przeciwko Ukrainie, mogą rozstrzygnąć się jeszcze przed końcem tego roku, jednak zależy to głównie od partnerów Kijowa – mówił przed spotkaniem z Donaldem Trumpem Wołodymyr Zełenski

oprac. Karolina Wrońska

IMAGO/CNP / MEDIAPUNCH/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

To już dziewiąte spotkanie Trumpa z Zełenskim. Ostatnie, w sierpniu tego roku nie przyniosło żadnych rozstrzygnięć, ale nie było też skandalu

Trwają jedne z najbardziej aktywnych dni dyplomatycznych w roku i wiele może się rozstrzygnąć do Nowego Roku, i robimy wszystko, by tak się stało, lecz to, czy zapadną decyzje, zależy od partnerów. Od tych, którzy pomagają Ukrainie, oraz od tych, którzy wywierają presję na Rosję, aby Rosjanie odczuwali konsekwencje własnej agresji – napisał w komunikatorze Telegram prezydent Ukrainy.

Wołodymyr Zełenski wyliczył, że tylko w tym tygodniu siły rosyjskie wypuściły na Ukrainę ponad 2,1 tys. dronów uderzeniowych, około 800 kierowanych bomb lotniczych oraz 94 rakiety różnych typów.

„Wszystko przeciwko naszym ludziom, przeciwko życiu i wszystkiemu, co zapewnia jego normalność; przede wszystkim przeciwko naszej infrastrukturze energetycznej" – podkreślił.

Wielkie oczekiwania

Tym razem prezydent USA Donald Trump przyjął Wołodymyra Zełenskiego w swojej posiadłości Mar-a-Lago na Florydzie. Już sam fakt spotkania był traktowany jako oznaka postępów w negocjacjach, lecz nie było jasne, czy da ono konkretne rezultaty.

Obok prezydentów w rozmowach udział wzięli czołowi negocjatorzy z obu stron: Rustem Umierow i Andrij Hnatow oraz Steve Witkoff i Jared Kushner. Prezydent Ukrainy zapowiadał, że ma nadzieję, iż podczas rozmów dojdzie do połączenia również z przywódcami państw europejskich. Jeszcze w sobotę Zełenski przeprowadził z szeregiem z nich rozmowę telefoniczną, kiedy przebywał w Kanadzie, a wśród uczestników był też premier Donald Tusk.

Do niedzielnego spotkania doszło po kilku rundach rozmów amerykańskich negocjatorów z delegacjami Ukrainy i Rosji i ma ono być dowodem postępów w negocjacjach. Sam Trump zapowiadał, że widzi sens spotkania z Zełenskim tylko wtedy, jeśli będzie widział szansę dopięcia porozumienia pokojowego. To, czy tak faktycznie się stanie nie jest jasne. Sam Zełenski zaznaczył jednak, że uzgodniona zostało 90 proc. 20-punktowego planu pokojowego.

Ostatnie rundy negocjacji miały miejsce w poprzedni weekend, kiedy wysłannik prezydenta USA ds. misji pokojowych Steve Witkoff i zięć Trumpa Jared Kushner odbyli osobne rozmowy w Miami z ukraińskimi negocjatorami, na których czele stał sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Rustem Umierow, oraz z przedstawicielami Kremla, wśród których był wysłannik Władimira Putina Kirił Dmitrijew. Zełenski rozmawiał też później telefonicznie z obydwoma przedstawicielami prezydenta USA, a w środę przedstawił nową, 20-punktową propozycję planu pokojowego opracowaną przez USA i która jest wynikiem konsultacji ze stronami konfliktu.

Plan przewiduje m.in. ponowne potwierdzenie suwerennego statusu Ukrainy, zamrożenie wojny na obecnych liniach kontaktowych, solidny pakiet rozwojowy dla Ukrainy, działania na rzecz odbudowy kraju, przyspieszenie procesu zawarcia ukraińsko-amerykańskiego porozumienia o wolnym handlu oraz wybory w Ukrainie w jak najkrótszym możliwym terminie po zakończeniu wojny.

Ponadto w wywiadzie dla portalu Axios, a także po telekonferencji z przywódcami państw europejskich Zełenski zasygnalizował możliwość zgody na ustępstwa terytorialne, jednak zaznaczając, że wymagałoby to przeprowadzenia referendum na temat akceptacji całego planu. Referendum miałoby zostać przeprowadzone równocześnie z wyborami prezydenckimi. Ukraiński przywódca podkreślił jednak, że wymagałoby to co najmniej 60-dniowego zawieszenia broni.

Zełenski oświadczył, że wcale nie jest dla niego jasne, że Rosja jest gotowa, by zaakceptować plan pokojowy Trumpa. Powiedział też, że wciąż omawiany jest powojenny status okupowanej przez Rosję Zaporoskiej Elektrowni Atomowej.

Mimo tych zastrzeżeń, Zełenski ocenił, że rozmowy weszły na „kolejny poziom" i że ma nadzieję na wypracowanie harmonogramu wdrażania porozumienia pokojowego.

Amerykańscy urzędnicy deklarowali optymizm przed spotkaniem, twierdząc, że w ostatnich tygodniach dokonano wielkich postępów. Zapewniali też, że USA są gotowe udzielić Ukrainie gwarancji bezpieczeństwa wzorowanych na zobowiązaniach sojuszniczych z artykułu 5. traktatu o NATO i że Biały Dom chce, by ratyfikował je Senat. Szczegóły tych gwarancji wciąż nie są znane i mają być jednym z głównych tematów rozmów.

Mimo wyrażanego przez urzędników optymizmu, sam Trump zdawał się tonować nastroje przed spotkaniem z Zełenskim. W piątkowym wywiadzie dla Politico zaznaczył, odnosząc się do nowego planu, że Zełenski „nic nie ma, dopóki on (Trump) tego nie zatwierdzi". Ocenił jednak, że dobrze mu pójdzie zarówno z Zełenskim, jak i Putinem.

Sam Putin w sobotę powiedział tymczasem, że według niego Kijów nie spieszy się z zakończeniem wojny i jeśli nie zrobi tego pokojowo, Rosja osiągnie swoje cele siłą. Swoje słowa wypowiedział po kolejnym zmasowanym bombardowaniu ukraińskich miast, w tym stolicy.

Wzloty i upadki

Niedzielne spotkanie Donalda Trumpa i Wołodymyra Zełenskiego było ich dziewiątą rozmową twarzą w twarz i siódmą odkąd Trump objął władzę prezydencką po raz drugi. Pierwsze spotkanie Trumpa z Zełenskim miało miejsce 25 września 2019 r. w Nowym Jorku na marginesie corocznych wystąpień światowych przywódców na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Trump i Zełenski - który od dawna zabiegał o możliwość spotkania z Trumpem w Białym Domu - spotkali się w samym środku skandalu, który zakończył się pierwszym impeachmentem Trumpa.

W ich wcześniejszej rozmowie telefonicznej Trump, który zablokował pakiet pomocy wojskowej dla Ukrainy, sugerował, że odblokuje go i sprzeda Ukrainie pociski przeciwpancerne Javelin, jeśli Zełenski ogłosi wszczęcie śledztwa przeciwko jego rywalowi Joe Bidenowi i jego synowi Hunterowi. Podczas spotkania w Nowym Jorku, Zełenski powiedział dziennikarzom, że rozmowa ta była „normalna" i że nie czuł się szantażowany. Trump wielokrotnie potem chwalił postawę ukraińskiego prezydenta, zaznaczając, że mógł się wtedy „popisywać", ale tego nie zrobił.

Pochlebstwa te nie powstrzymywały jednak Trumpa przed późniejszym wielokrotnym drwieniem z Zełenskiego, którego nazywał „najlepszym sprzedawcą świata", sugerując w kampanii wyborczej 2024 r., że naciąga USA na miliardy dolarów, prosząc o pomoc dla kraju najeżdżanego przez Rosję.

Prawdziwy kryzys w stosunkach prezydentów nastąpił podczas ich pierwszego spotkania w Białym Domu, 28 lutego 2025 r. Podczas długiej, ponad 40-minutowej sesji przed kamerami na początku rozmowy w Gabinecie Owalnym doszło do ostrej, publicznej kłótni. Trump powiedział Zełenskiemu, że „nie ma kart" i że nie chce zakończyć wojny, bronił Władimira Putina, a wiceprezydent J.D. Vance wypominał Zełenskiemu, że nie powiedział „dziękuję" za wsparcie USA.

Na dobre kryzys został zażegnany dopiero podczas kolejnego spotkania prezydentów, 15 kwietnia w Bazylice św. Piotra w Watykanie, gdzie obaj odbyli 15-minutową rozmowę na marginesie uroczystości pogrzebowych papieża Franciszka.

25 czerwca Zełenski i Trump spotkali się ponownie podczas szczytu NATO w Hadze, kiedy prezydent USA obiecał pomoc w sprowadzeniu dla Ukrainy 17 systemów Patriot, której to obietnicy nie zrealizował do dziś.

Mimo to, kolejne rozmowy miały bardziej pozytywny wydźwięk. 18 sierpnia, po spotkaniu z Putinem na Alasce, Trump spotkał się z Zełenskim i przywódcami europejskich państw w Białym Domu, co okazało się początkiem długich i dotąd nie rozstrzygniętych pertraktacji na temat gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy.

Ostatnie spotkanie obu przywódców miało natomiast miejsce 17 października. Mimo pozytywnego tonu rozmów, nie przyniosły one żadnego konkretnego rezultatu. PAP

AKCJA CHARYTATYWNA 0011434064

eprasa.pl 6521773fd7

KTO WSTANIE OD STOŁU, TEN UMRZE, CZYLI ŚWIĘTA W CZECHACH

– U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. W naszej tradycji Bożego Narodzenia są też wróżby. A jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć – mówi Jakub Medek, Czech mieszkający od 20 lat w Polsce

Andrzej Kłopotowski

Czesi nie uchodzą za naród wierzący.
Czesi nie są narodem wierzącym instytucjonalnie. Mamy problem z religiami instytucjonalnymi, głównie z katolicyzmem, choć kościołów w Czechach trochę funkcjonuje, w tym kościołów rodzimych, protestanckich. Z ostatniego spisu powszechnego wynika, że do kościołów – jakichkolwiek – chadza 17 czy 18 procent Czechów. I to nie jest oczywiście europejski rekord, są bardziej laickie narody. Natomiast z punktu widzenia Polski – no to Jezu Chryste – ateiści. Temat jest jednak bardziej złożony. To, że Czesi nie wierzą w religię instytucjonalną, nie znaczy, że odrzucają fakt istnienia siły wyższej. Jakieś 60-70 procent ludzi uważa, że coś tam jest. Mamy fajnego filozofa – księdza katolickiego swoją drogą – Tomáša Halíka, który mówi, że religią podstawową w Czechach jest „cosizm". Wiara w coś.

Jak wygląda więc czeskie Boże Narodzenie?
Boże Narodzenie jest w Czechach świętem bardzo rodzinnym, obchodzonym masowo. Powiedziałbym, że obchodzonym nawet bardziej masowo niż w Polsce.

Mówisz o rodzinnych zjazdach, wspólnym spędzaniu czasu przy stole, bez instytucjonalnego kościoła?
Tak. Co nie znaczy, że bez symboliki charakterystycznej dla klasycznego, chrześcijańskiego kościoła. Jest szopka, aniołek. Mikołaj akurat nie, ponieważ Mikołaj przychodzi u nas w wigilię mikołajek, czyli 5 grudnia. U nas prezenty pod choinkę przynosi Jezusek. Dodatkowo Wigilię mamy ustawowo wolną już od dawna. Pierwszy i drugi dzień świąt też. Te święta – i do tego zmierzam – są obchodzone bardzo mocno w duchu tradycji świąt Bożego Narodzenia. Z jednej strony wierzymy w „cosizm", a nie wierzymy w kościoły instytucjonalne. Z drugiej strony to chrześcijaństwo jest bardzo mocno zakotwiczone w naszej kulturze. Podam przykład. W Pradze jest taki event: w pasterkę, w holu

FOT. 123RF

– Historia o czeskim ateizmie jest dużym uproszczeniem – mówi Medek (na zdjęciu: ikoniczny Most Karola w Pradze)

kolejowego dworca głównego zbiera się kilkaset osób, by razem z orkiestrą śpiewać pieśni z barokowej mszy bożonarodzeniowej Jakuba Jana Ryby.

Wierzyć można wszędzie...
Wierzyć można wszędzie. Świętować można wszędzie. To też pokazuje, że ta historia o czeskim ateizmie jest bardzo dużym uproszczeniem.

Z czego biorą się więc te stwierdzenia o Czechach ateistach?
Myślę, że z braku kościoła instytucjonalnego i tego, jak radykalną jest to różnicą z polskiej perspektywy. Często stereotypy – a w tym się specjalizuję, w tym prostowaniu czy dyskutowaniu o stereotypach – biorą się z różnic. Z tego, że przykładamy swoją miarę, swoje doświadczenia do rzeczy, które wyrastają z totalnie innej rzeczywistości, odmiennych doświadczeń choćby historycznych.

Chodzi ci o podziały Kościoła?
O podziały, które sprawiły, że Czechy dzisiaj są takie, jakie są. Korzeni można szukać już w XIV wieku. Kościół katolicki w Polsce historycznie zawsze był ostoją polskości, przynajmniej na tym poziomie kościoła podstawowego, bo z hierarchami to różnie bywało. W Czechach Kościół katolicki od XIX wieku, od momentu budzenia się nowoczesnej świadomości narodowej, był symbolem habsburskiej opresji. Religia narzucona z zewnątrz. Chociaż to też jest znacznie bardziej złożone. Żeby nie wchodzić w głęboki wykład historyczny – to, że Polacy uważają Czechów za ateistów, jest typowym przykładem na popadanie w pułapkę stereotypizacji, gdy próbujemy coś mierzyć własną miarą.

Prezenty przynosi wam słynny praski Jezusek – Pražské Jezulátko?
Nie, przynosi je uniwersalny Jezusek.

Pytam, bo ten jest chyba najbardziej znany...
W dodatku jest czarny.

Jest opisywany we wszystkich przewodnikach.
To święta figura Jezuska, która jest ubierana. Przypomina taką dużą lalkę. Dla prażan nie jest to ważna postać. Kulturowo jest znana. Sam praski Jezunio to historia z okresu rekatolizacji Czech po tym, jak na początku XVII wieku upadło powstanie czeskich protestanckich stanów generalnych przeciwko Habsburgom. Habsburgowie zakazali działalności protestanckich, rodzimych kościołów i zaczęli wielką akcję rekatolizacyjną. Z jednej strony polegała na tym, że przymusowo wyrzucano za granicę albo poddawano egzekucjom protestancką szlachtę. Przymusowo rekatolicyzowano protestancki lud, ale jednocześnie prowadzono ogromną ofensywę kulturalną. Zresztą to, jak Praga dzisiaj wygląda, to, co tak bardzo wszystkich zachwyca – Polaków również – zawdzięczamy tak naprawdę habsburskiej rekatolizacji. Temu, że wszystko miało być wielkie, imponujące i pokazywać buntującym się poddanym: Zobaczcie, jaki ten katolicyzm jest piękny, wspaniały, złoty, cudowny itd. Częścią tej ofensywy był też ten Jezusek.

Jak wygląda świętowanie Czechów? Katolicy świętują inaczej, ewangelicy inaczej?
Powiedziałbym, że w zasadniczych rysach jest podobnie. Mamy choinkę. No ale choinkę w niemieckim kręgu kulturowym mają wszyscy, Polacy zresztą też. Wbrew popularnym, szczególnie ostatnio, narracjom – kulturowe wpływy niemieckie w Polsce są tak samo mocne jak w Czechach. Mamy też sałatkę jarzynową. To jest kolejny, zmutowany niemiecki wpływ, bo przecież to Kartoffelsalat. W Polsce dodano do niej parę rzeczy. W Czechach, ponieważ związki z germańską kulturą są mocniejsze, sałatka jarzynowa bardziej przypomina oryginalny Kartoffelsalat.

Czyli nie ma groszku?
Groszek może być. Akurat kwestia sałatki jarzynowej upodabnia narodowe spory Czechów do sporów Polaków. Polacy kłócą się o to, czy placki ziemniaczane powinny być z cukrem, czy solą. Czesi o sałatkę jarzynową kłócą się tak samo. O to, co powinno się w niej znaleźć, a co nie. Na stole zawsze jest karp. Karp jest bardzo mocno zakotwiczony w czeskiej kulturze. Czechy są krajem o największej liczbie stawów na świecie. W całym kraju mamy tylko osiem jezior. Zrobiliśmy więc sobie własne jeziora. Obecnie w Czechach mamy około 25 tysięcy stawów, przy czym w Polsce staw rybny kojarzy się z wykopaną prostokątną albo okrągłą dziurą. U nas to są stawy na groblach, w dolinach i często to stawy zakładane w średniowieczu. Bardzo często wyglądają więc jak zwykłe jeziora. Stawów mamy od groma i hodujemy od groma tych ryb, których właściwie nie jemy, chyba że jest Wigilia. W Wigilię karp smażony w panierce – obok sałatki jarzynowej – jest elementem nieodzownym.

A kolędy?
Jak najbardziej. Rodzime, w tym z czasów husyckich, jak chyba najpopularniejsza czeska kolęda „Narodził się Chrystus pan". Oczywiście też kolędy niemieckie – jak w Polsce, ale śpiewane po czesku. Zresztą – a propos wpływów niemieckich – po czesku Boże Narodzenie to są Vánoce, czyli staroniemiecki Weihnacht. Co tam jeszcze jest... Jest ciasto, nazywa się Vánočka, czyli ciasto bożonarodzeniowe. Przypomina trochę chałkę, choć jest trochę cięższe, bardziej zwarte. Też splatane jest jak chałka, robione z drożdżowego ciasta, z dużą ilością bakalii. Tak jak w Polsce tradycyjnie jest dwanaście wigilijnych potraw, w Czechach powinno być jak najwięcej rodzajów Vánočního cukroví, czyli słodyczy, bożonarodzeniowych ciasteczek. Piecze się je na potęgę, w milionach różnych rodzajów. Jest trochę zwyczajów, które w Polsce byśmy łączyli z andrzejkami. W tradycji Bożego Narodzenia są wróżby, jak rzucanie butem przez ramię, krojenie jabłek, itd. Ważnym obyczajem jest zakaz wstawania od stołu. Jak usiądziesz do stołu, musisz przy nim siedzieć, bo kto wstanie, ten umrze (śmiech). W moim domu ten obyczaj jest bardzo restrykcyjnie przestrzegany.

To ile musisz siedzieć przy stole?
Siedzisz, dopóki nie zjesz wieczerzy. Jest coś takiego, że dba się, by przynieść wszystko, by wszystko na stole było. Wstanie od stołu, żeby np. donieść coś na stół, to niezłe faux pas. Bardzo mocną czeską tradycją wigilijną jest zlaté prasátko – złota świnka. Generalnie chodzi o to, że jak pościsz cały dzień – do wigilijnej kolacji, to masz szansę zobaczyć złotą świnkę. A kto zobaczy złotą świnkę, ten w nadchodzącym roku będzie miał dużo szczęścia, powodzenia i oczywiście pieniędzy.

Domyślam się, że co roku widzisz złotą świnkę?
Zasadniczo to bardzo praktyczny obyczaj. Chodzi o to, żeby ludzie – szczególnie dzieci – nie podjadali przez cały dzień i potem jedli wszystko, co na wigilijnym stole się znajduje. U mnie w domu, żeby nas motywować, zawsze brali taką świnkę-skarbonkę, owijali ją pazłotkiem, wieczorem stawiali gdzieś na szafie i pokazywali: „Patrz, złota świnka!". Na wigilijnym stole bywa – choć nie u każdego – schabowy. Ale rzadziej bywa, niż nie bywa.

Wigilia jest więc mega rodzinna, mega tradycyjna. A pierwszy i drugi dzień świąt?
Pierwszy i drugi dzień świąt również.

Znowu siadacie do stołu i jak wstaniesz, to umrzesz?
Tak. Znowu siadamy do stołu, tylko ze wstawaniem to tradycja stricte wigilijna. Ale święta to czas bardzo rodzinny, przy czym jeszcze Święty Szczepan – czyli pierwszy dzień świąt – to czas odwiedzin. Rodziny się odwiedzają, organizują rodzinne obiady.

Czy Czesi mają świeckie tradycje związane ze świętami?
Mówiłem o pasterce na dworcu w Pradze. Mówiłem o bojach o sałatkę jarzynową. Od kilkudziesięciu lat mamy obyczaj produkcji fabularnych bajek bożonarodzeniowych przez telewizję. Od lat 50. tych bajek wyprodukowaliśmy chyba 700 czy 800. W Wigilię pokazywane są od 1989 roku. To są zwykle pełnometrażowe bajki. I nowa bajka zawsze ma premierę w Wigilię o godz. 20. Jak tylko się skończy, rozpoczyna się o niej dyskusja.

CV

FOT. W. WOJTKIELEWICZ

Jakub Medek
Dziennikarz radia Tok FM. Prowadzi podcast „Czechostacja". Autor książki „Dobrý den. Chmiel, tożsamość i luz. Polskie mity o Czechach" (wyd. Mando, 2025)

eprasa.pl 6521773fd7

WIGILIA NA 30 OSÓB. BO 50 LAT TEMU ZAŁOŻYLI RODZINNY DOM DZIECKA

Pół wieku temu Janina i Tadeusz Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła życie kilkunastu osób. W bloku na białostockim osiedlu stworzyli pierwszy w województwie podlaskim rodzinny dom dziecka. Dziś ich „dzieci" mają własne rodziny, domy, wnuki. Mimo to wciąż tworzą jedną, wielką rodzinę. Tę niezwykłą historię opowiada rodzona córka Janiny i Tadeusza – Jolanta

Agnieszka Domanowska

Rodzinna kronika leży na stole. Pożółkłe kartki, starannie prowadzone ręką Tadeusza Kamińskiego. – Tata zakładał tę kronikę, dziś już nie żyje – mówi Jolanta, jego córka, przeglądając zdjęcia sprzed pięćdziesięciu lat. Na fotografiach uśmiechnięte dzieci, świąteczny stół, Mikołaj w czapce.

„Kochane dzieci" – napisał Tadeusz na marginesie. I rzeczywiście, były to jego dzieci. Wszystkie.

FOT. PAWEŁ BALEJKO

Janina Kamińska (z lewej) była matką dla dziewięciorga dzieci. Miała dwie własne córki (z prawej siedzi Jola), a dla siedmiorga dzieciaków stworzyła rodzinę zastępczą

Propozycja, która zmieniła życie

Rok 1975. W małej miejscowości koło Grajewa mieszkała rodzina nauczycieli. Tadeusz – dyrektor szkoły, Janina – kierowniczka.

– Mama też była taką aktywistką. Harcerstwo, PCK, robiła całej wsi zastrzyki, skończyła kursy – wspomina Jolanta.

Ktoś w Białymstoku o nich usłyszał i pewnego dnia do drzwi Kamińskich zapukali przedstawiciele wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci z nietypową propozycją: Czy nie chcieliby założyć rodzinnego domu dziecka?

– Tata się od razu zapalił – w Białymstoku córki będą miały przyszłość! Ale mama miała wątpliwości. „Nie mieliśmy kłopotów ze swoimi dziećmi, to nie wiesz, co znaczy mieć takie dzieci" – powiedziała do taty – wspomina Jolanta.

Jednak po długich rozmowach Kamińscy podjęli decyzję, która zmieniła ich życie.

Sierpień 1975 roku. Przeprowadzka do Białegostoku, do mieszkania w świeżo wybudowanym bloku przy ul. Warszawskiej. Dwa połączone lokale – razem siedem pokoi w surowym stanie.

– Odgruzowywaliśmy od pierwszego sierpnia, myliśmy szyby, wszystko szorowaliśmy – wspomina Jolanta, która wtedy miała 15 lat i właśnie kończyła podstawówkę. Jej młodsza siostra, Ewa, szła do siódmej klasy.

Szóstka, która stała się siódemką

We wrześniu rodzinny dom dziecka ruszył. Choć nie było to takie proste, jak mogłoby się wydawać.

– W domach dziecka było mnóstwo dzieci, ale większość z nieuregulowaną sytuacją prawną – tłumaczy Jolanta.

Założenie rodzinnego domu, wynikające z przepisów, było jasne: sześcioro dzieci musi być. Przyjechała dziewczynka z Grodna, w wieku młodszej córki. Potem dwa lata młodsza dziewczynka z Łomży. Do tego chłopiec z Białegostoku i trójka maluchów – trzylatki.

– Tylko jedno dziecko było pełną sierotą. W przypadku pozostałych – rodzice byli pozbawieni praw lub mieli duże ograniczenie praw rodzicielskich – wyjaśnia Jolanta. – To były dzieci poranione przez życie, spragnione miłości i ciepła.

Siódme dziecko trafiło do rodziny Kamińskich przez przypadek. Tadeusz pracował w pogotowiu opiekuńczym. Przywieziono tam dziewczynkę – jej matka zostawiła rodzinę, ojciec był głuchoniemy.

– Tata powiedział: póki jeszcze system jej nie zepsuł, zabieramy ją do siebie – wspomina Jolanta.

Jeden z najmłodszych chłopców był bardzo chorowity.

– Mama cały czas mówiła, że on ma coś w buzi. Wszyscy myśleli, że wymyśla – wspomina Jolanta. Okazało się, że to złośliwy nowotwór. Dziecko przeszło operację i przeżyło.

– Mama uratowała mu życie, bo nie odpuszczała – podkreśla Jola.

Mówiły „mamo, tato". A to zobowiązuje

Na początku państwo Kamińscy zadali dzieciom ważne pytanie: jak chcą się do nich zwracać? Proszę pana, proszę pani? Ciociu, wujku? A może... mamo, tato?

– No oczywiście wybrały mamo, tato. I to zobowiązuje – podkreśla Jolanta. – W innych rodzinnych domach dziecka, które później powstawały w Białymstoku, było inaczej. Dzieci mówiły „ciociu", „wujku". Dorastały, odchodziły i kontakt się urywał. U nas było inaczej. My zauważyliśmy, że samo wymawianie słowa „tato", „mamo" sprawia im ogromną przyjemność, a wręcz uspokaja – wspomina Jolanta.

Życie na garnkach i w kolejkach

Janina Kamińska wstawała codziennie o godzinie czwartej, piątej rano. Musiała przecież przygotować śniadanie dla jedenastu osób!

– Mama gotowała w garnkach wielkości kotłów. Było dziewięcioro dzieci i ich dwoje, to w sumie jedenaście osób. Żeby zrobić dla każdego po trzy gołąbki, to wychodziło trzydzieści trzy... – liczy Jolanta.

A trzeba pamiętać, że to były czasy PRL-u, czyli kartki na żywność, kolejki po wszystko.

– Stało się po buty dwa dni, trzy dni, a mama musiała dziewięć par w sumie kupić – opowiada. – W ogóle to były czasy, kiedy w sklepach nic nie było. Mama musiała rano kupować dziesięć litrów mleka, czyli przynosiła do domu... dziesięć szklanych butelek.

Dzieci przychodziły z trudnym bagażem. Na początku chowały jedzenie pod poduszki, bo bały się, że zabraknie.

– Gdyby wszystko stało na stole, to puszka pasztetu na jedną kanapkę by poszła – tłumaczy Jolanta. Dlatego Janina musiała sama robić kanapki dla wszystkich.

„Moje własne dzieci nie miały taty"

Dla córek państwa Kamińskich to nie było łatwe.

– My z siostrą właściwie nie miałyśmy rodziców – przyznaje szczerze Jolanta. – My problemów nie stwarzałyśmy i starałyśmy się ich nie stwarzać, bo widziałyśmy, ile rodzice mieli na głowie.

Jej młodsza siostra bardzo to przeżywała. Cztery lata temu zmarła na raka.

Formalny wymóg mówił, że rodzice, którzy chcą prowadzić rodzinny dom dziecka, muszą mieć swoje dzieci.

– Uważam, że to nie był dobry pomysł, bo jednak my z siostrą byłyśmy pokrzywdzone – przyznaje dziś Jolanta. – Państwo dawało kieszonkowe, ja-

eprasa.pl 6521773fd7

FOT. P. BALEJKO

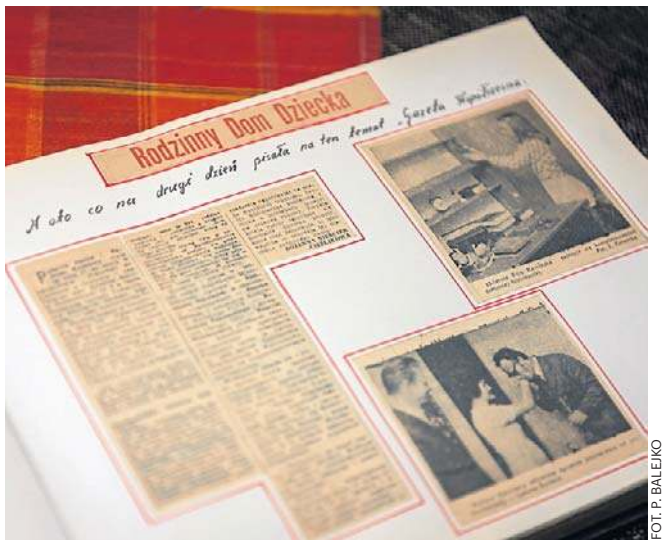

FOT. P. BALEJKO

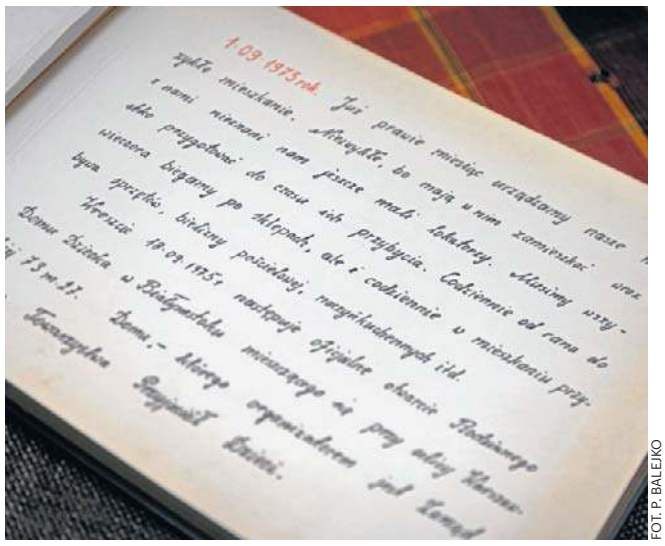

FOT. P. BALEJKO

Rodzinną kronikę założył i prowadził Tadeusz Kamiński. Wklejał tam zdjęcia z różnych rodzinnych uroczystości, a także z codziennego życia. Na fotografiach widać roześmiane buzie dziewięciorga dzieci. W kronice są też jego notatki oraz wycięte z gazet artykuły o pierwszym w województwie podlaskim rodzinnym domu dziecka

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

FOT. P. BALEJKO

kieś grosze tamtym dzieciom, i my takie same dostawałyśmy. Mamy nie było stać, żeby kupować markowe dżinsy, które wtedy były modne, to i my nie miałyśmy. Dziś nie mam żalu, wtedy w sumie też...

Ale Jolancie udało się przekształcić to doświadczenie w coś pięknego.

- Ja to taki człowiek stadny - mówi o sobie.

Mieszkała z najmłodszą Edytką w ostatnim, siódmym pokoju.

- To ja wysadzałam ją w nocy na siusianie, prowadzałam do przedszkola. Zostałam też jej matką chrzestną - uśmiecha się.

Studia, rodziny, wnuki

Tadeusz Kamiński napisał pracę magisterską pt. „Proces integracji wychowanków rodzinnego domu dziecka". Zawarł tam ważne zdanie: „Uważam jednak, że wyrazem rzeczywistego powstania wzajemnej więzi między dziećmi i ich przybranymi rodzicami będzie postawa i stosunek dzieci usamodzielnionych do domu rodzinnego. A o tym będziemy mogli się przekonać dopiero za kilkanaście lat".

Przekonał się. Tadeusz Kamiński zmarł 15 lat temu, w wieku 67 lat.

- Miał nagły zawał - wspomina Jolanta. - Ale zdążył zobaczyć, jak jego dzieci zakładają rodziny, kończą studia, rodzą im się dzieci.

Dzisiaj wychowankowie państwa Kamińskich to dojrzali ludzie z własnymi rodzinami. Najstarsza przeszła już na emeryturę - przez całe życie pracowała jako księgowa w PSS-ie. Inna skończyła studia i została nauczycielką, była nawet wicedyrektorką szkoły. Kolejna ma własną kwiaciarnię. Jeden z chłopców uczy w liceum - był jednym z najlepszych studentów. Inny mieszka w Anglii.

- Wszyscy wyszli na prostą. Bardzo znaczącą prostą! - podkreśla Jolanta. Mają domy, rodziny, pracę. - Nie ma czegoś takiego, że jakieś ich złe nawyki z przeszłości odbiły się na ich własnych rodzinach. A bardzo często tak jest, prawda? Wychodząc z trudnej rodziny, trudno jest założyć własną dobrą rodzinę. Więc w naszym rodzinnym domu dziecka, w naszej rodzinie, musiało być naprawdę mnóstwo miłości i czułości, że te dzieci po prostu zapomniały o swoim życiu w rodzinach biologicznych.

„Mój brat, moja siostra"

Do dziś wszyscy utrzymują ze sobą kontakty.

- Dzwonimy do siebie, a jedna z moich sióstr to przychodzi tutaj dosyć często, z mężem - opowiada Jolanta.

Jeden z wychowanków zaś do dziś spędza u nich wszystkie święta.

- Mówimy do siebie: brat, siostra - przyznaje Jolanta.

Kiedy Tadeusz Kamiński zmarł, to właśnie jego wychowanek dziękował na cmentarzu wszystkim za przybycie i wspominał tatę.

- To jest po prostu rodzina. Jesteśmy rodziną - powtarza Jolanta.

Kiedy najmłodsza z wychowanek miała trafić do państwowego domu dziecka - po tym, jak Janina i Tadeusz zakończyli już prowadzenie domu rodzinnego - to właśnie Jolanta się temu sprzeciwiła.

- Ja wtedy byłam akurat sama z dziećmi, z dwójką moich dzieci, bo rozstałam się z mężem i dostałam połowę tego mieszkania. Mówię: o nie, tak to nie będzie, nie po to tyle lat była w domu rodzinnym, żeby teraz do domu dziecka na końcówkę wracać. I wzięłam ją do siebie - wspomina. Dziewczyna mieszkała u niej, dopóki nie wyszła za mąż.

Mama wciąż pamięta

Janina Kamińska ma dziś problemy z pamięcią. Mieszka u Jolanty, w połowie mieszkania przy ul. Warszawskiej, gdzie wszystko się zaczęło.

Ale pewne rzeczy Janina pamięta doskonale.

- To moje kochane dzieci - mówi ciepła i empatyczna staruszka.

Niedawno córka zapytała: - O czym mamusiu myślisz?

A Janina na to: - No tak przeanalizowałam swoje całe życie, od młodości do tego czasu. I doszłam do wniosku, że dobrze wychowałam te dzieci. To moje dzieci. Czasami też martwi się: - Nic nie robię, a wy ciągle coś robicie. Coś bym może zrobiła?

Wtedy zięć mówi: - Mamuś, ty się przez życie tyle napracowałaś, tyle zrobiłaś, że ty teraz powinnaś odpoczywać.

- To bez dwóch zdań jest anioł, a nie człowiek - podkreśla Jolanta. - Ona całe życie przepracowała, żyła cały czas dla wszystkich, wszystkim wszystko zrobiła. I dlatego chyba wybrali ją na prowadzenie tego rodzinnego domu dziecka.

Wigilia dla trzydziestu osób

Teraz, gdy zbliżają się święta, Jolanta liczy: „Ja mam dwójkę dzieci i dwójkę wnuków, to jest nas pięć, sześć osób. Bożenka siedem, osiem, dziewięć, Basia dziesięć..." I tak co roku dolicza do prawie trzydziestu osób.

W tym roku Wigilia znów będzie u niej. Przyjdzie Jarek, przyjdzie Krzysiek. I inni. Tacy, dla których „mama Janina" to po prostu mama. A Jolanta - to siostra.

- Dziś, tak jak przed laty, jesteśmy razem, tylko już bez taty i mojej siostry. Ale doskonale pamiętamy święta sprzed 50 lat. Też byliśmy razem. Razem ubieraliśmy choinkę, razem gotowaliśmy gigantyczne ilości jedzenia, choć nie zawsze było z czego, ale nasza mama zawsze coś poradziła. I prezenty... Były zawsze.

Jolanta pokazuje zdjęcie:

- To chyba z pierwszej wspólnej Wigilii. Kto był Świętym Mikołajem? No przecież ja - śmieje się.

Pięćdziesiąt lat temu Janina i Tadeusz Kamińscy przyjęli do swojego domu siedmioro obcych dzieci.

Dziś te dzieci mają własne domy, własne rodziny, własne dzieci i wnuki. Ale wciąż wracają do tego pierwszego domu. Bo tam był - i wciąż jest - ich dom rodzinny. W najpiękniejszym tego słowa znaczeniu.

REKLAMA 0411243884

Świąteczne zakupy
w Centrum Mody Nadarzyn
DOBRY WYBÓR

Czynne w każdą NIEDZIELĘ
niektóre sklepy

CM ELEGANCJA

Aleja Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

eprasa.pl 6521773fd7

RECEPTA NA DŁUGOWIECZNOŚĆ? PO PROSTU: ŻYCIE

Trzy siostry z Podkarpacia razem mają 303 lata. Najstarsza z rodzeństwa, Wiktoria Bożek, 4 czerwca skończyła 104 lata. 101 lat ma jej siostra Amelia Budziwojska. Trzecia z sióstr skończyła 98 lat. To jedno z najstarszych rodzeństw w Polsce, a prawdopodobnie również w Europie

Norbert Ziętal

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Wiktoria Bożek: - Nigdy nie stasowałam diety, nawet o tym nie myślałam. Dopiero teraz unikam wieprzowiny, ale wszystko inne jem normalnie

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Wiktoria Bożek z wnuczką, zdjęcie pochodzi z 1982 roku

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

100. urodziny w 2021 r., wójt gminy Wielopole Skrzyńskie wręcza jubilatce dyplom i kwiaty

Mama już tak dobrze nie słyszy. Lepiej rozmawia się jej przez telefon, wtedy nie ma problemu, aby porozmawiać - mówi Wiesława Bełko, córka pani Wiktorii.

No to dzwonimy.

- Wychowałam się w domu, na rolnictwie. Miałem więcej rodzeństwa. W wieku 7 czy 8 lat trafiłam do dziadków - mówi pani Wiktoria Bożek.

Przed pół rokiem rozpoczęła swój 105. rok życia. Urodziła się 4 czerwca 1921 roku, w II Rzeczpospolitej, w okresie międzywojennym. Niedługo po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

- Jaka jest recepta, sposób na długowieczność? - zadajemy standardowe pytanie.

- Jaka recepta? Nie wiem. Jak nie stosowałam żadnych sposobów, recept, nigdy o tym nie myślałam. Dawniej ciężko było, nie tylko na wsi. Nie było tak łatwo dostępnego jedzenia, jak dzisiaj, wystarczy pójść do sklepu. Chleb piekło się samemu, z własnych składników. O różnych wygodach, które dzisiaj są normalne, też wtedy się nie myślało - wspomina pani Wiktoria.

I dodaje, że dzieciństwo, jak to na wsi, podobne wszędzie. Pomagało się w domu, w gospodarstwie, pasło się krowy. Wojna była sporym przeżyciem.

Dużo czyta, uwielbia telewizyjne seriale

Gdy wybuchła II wojna światowa, była już nastolatką. Doskonale orientowała się w sytuacji. W konspiracji, w Armii Krajowej działał jej mąż Walenty. Pobrali się w czasie wojny, w 1942 roku. Pan Walenty zmarł w 1980 roku.

Prawie cały życie mieszkała w Nawsiu w gminie Wielopole Skrzyńskie w powiecie ropczycko-sędziszowskim. Prawie, bo od jakiegoś czasu jest u córki w Przeworsku.

Dużo czyta, głównie książki i czasopisma religijne, modli się, ale również lub oglądać wiadomości, interesuje się tym, co się dzieje w regionie i na świecie.

No i seriale w telewizji.

- Seriale oczywiście lubię. M jak miłość, Barwy Szczęścia, Klan - te uwielbiam najbardziej - przyznaje.

Próbujemy dociec sekretu długowieczności. Geny? Prawdopodobnie odgrywają dużą rolę. Dlaczego? Bo siostry pani Wiktorii, panie Amelia i Janina też mają już piękny wiek. Pierwsza ma 101 lat, druga 98. Jest jeszcze trzecia siostra, Kazimiera, która obecnie ma 77 lat.

Długo żyli rodzice pani Wiktorii. Zmarli, gdy mieli 89 lat (mama) i 93 lata (ojciec).

- Dawniej, jak mieszkałam w Nawsiu, to częściej wychodziłam na zewnątrz. Teraz, z bloku, trudniej jest wyjść. Nigdy nie stasowałam diety, nawet o tym nie myślałam. Dopiero teraz unikam wieprzowiny, ale wszystko inne jem normalnie - mówi 105-latka.

Oczywiście, niszczące organizm nałogi typu papierosy czy alkohol, nigdy nie wchodziły w grę.

Pani Wiktoria wychowała troje dzieci. Ma sześcioro wnuków i ośmioro prawnuków. Jest jedną z najstarszych kobiet w Polsce.

W gminie Wielopole Skrzyńskie jest więcej osób w wieku powyżej 100 lat. Gmina regularnie publikuje na Facebooku relacje z uroczystych obchodów kolejnych jubileuszy.

Najstarsza Polka ma 113 lat

Długowieczność od dawna fascynowała naukowców i badaczy. Obecnie najstarszą mieszkanką Polski jest Jadwiga Żak-Stewart z Łodzi, która w lipcu skończyła 113 lat.

Pani Jadwiga urodziła się 15 lipca 1912 roku w Warszawie. Po II wojnie światowej, w 1946 roku przeniosła się do Łodzi i mieszkała tam do początku lat 80. i wprowadzenia w Polsce przez komunistów stanu jennego. Z synami wyemigrowała wówczas do USA, gdzie mieszkała aż do ukończenia 100 lat. W swoje setne urodziny wróciła do Polski, do swojej ukochanej Łodzi.

To wyjątkowa kobieta, zawsze była pełna energii, do 84. roku życia prowadziła samochód, a w wieku 110 lat w Polsce występowała w reklamach domów opieki społecznej.

Najstarszą osobą w historii o potwierdzonym wieku była Francuzka Jeanne Calment, która żyła 122 lata i 164 dni (1875-1997).

Obecnie najstarszą kobietą na świecie jest urodzona w 1909 r. Ethel Caterham z Wielkiej Brytanii (ma 116 lat), a najstarszym mężczyzną Joao Marinho Neto z Brazylii (113 lat), który urodził się w 1912 r.

Co decyduje o długowieczności?

Naukowcy wciąż szukają „cudownej recepty". W 1990 r. w USA powstała Gerontology Research Group - Grupa Badawcza Gerontologii, zajmująca się fenomenem najstarszych ludzi na świecie. Centralna znajduje się w Los Angeles w Kalifornii (USA), a biura w Atlancie (USA) oraz Warszawie. To globalną, non-profit instytucja naukowa, skupiającą badaczy z różnych dziedzin gerontologii, długowieczności człowieka, zdrowia publicznego i demografii. Celem badań tej grupy jest spowolnienie i odwrócenie procesu starzenia. Interesują ich osoby, które przeżyły 110 lat.

Czy na dzisiaj wiadomo już, jaka jest recepta na długowieczność? Nie, nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Naukowcy są jednak zgodni, że nie ma jednej przyczyny.

Długowieczność to efekt współdziałania genów, stylu życia, środowiska i czynników psychospołecznych. Badania nad stulatkami (także w Polsce) pokazują, że rzadko chodzi o „sekret", częściej o sumę drobnych czynników przez całe życie.

Geny to ok. 20-30 proc. wśród czynników długowieczności. Wiadomo, że u stulatków częściej występują geny chroniące przed miażdżycą i cukrzycą, sprzyjające sprawnej naprawie DNA. Geny wprawdzie nie gwarantują długiego życia, ale zmniejszają ryzyko chorób cywilizacyjnych i opóźniają ich wystąpienie. Z tego względu zdarzają się długowieczne rodzeństwa.

Okazuje się, że największy wpływ ma styl życia i dieta. Badając życie stulatków naukowcy zauważyli, że większość stosowała umiarkowane jedzenie (bez przejadania się) oraz dietę opartą na warzywach, kaszach, ziemniakach, produktach lokalnych. Unikali żywności wysoko przetworzonej i nie używali nigdy albo w małych ilościach alkoholu. „Jedli skromnie, ale regularnie". Nigdy nie palili, albo szybko rzucili, jeszcze we wczesnej młodości.

Ważnym czynnikiem jest również codzienna, naturalna aktywność fizyczna. Nie chodziło o wyczynowe uprawianie sportów, ale codzienne chodzenie, pracę fizyczną w ogrodzie czy gospodarstwie, bez forsowania organizmu.

Osoby długowieczne unikały i unikają stresu, nie żyją w ciągłym napięciu, nie rozpamiętują urazów od innych, szybko „odpuszczają". Ponadto rzadko są samotne, utrzymują więzi rodzinne, czują się potrzebne.

Większość stulatków to mieszkańcy wsi lub małych miejscowości, żyjący w czystym środowisku, prowadzących spokojniejszy rytm dnia. Wielu z nich w późniejszym okresie swoje życia nadal przejawia zaciekawienie światem. Czyta gazety i książki, lubi rozmawiać, ma swoje zainteresowania, nawet w zaawansowanym wieku potrafi się uczyć nowych rzeczy.

Postęp medycyny, szczepionki, higiena poprawiły średnią długość życia ludzi

Czy długowieczność to „specjalność" naszych czasów? Zdecydowanie tak. Jeszcze tysiąc lat temu średnia wieku ludzi wynosiła 25 - 30 lat. Jednak tak niska przeciętna wynikała z dużej śmiertelności niemowląt. To zaniżało obliczenia dla całej populacji. Człowiek bez problemu dożywał wtedy 55 - 60 lat. W kolejnych stuleciach na wzrost średniej długości życia wpływały postęp medycyny, wynalezienie szczepionek na groźne choroby, lepsza higiena.

Średnia długość życia w ostatnich stuleciach spadała z powodu większych wojen lub globalnych chorób, jak choćby ostatni koronawirus Covid-19. Badacze są jednak zgodni, biologiczna granica wieku człowieka, 120 lat, jak na razie jest nie do pokonania.

REKLAMA 0011454353

Syndyk Masy Upadłości Wojciech Szidlewski ogłasza sprzedaż:
niewydzielonego udziału w wysokości 3/4 w lokalu mieszkalnym o powierzchni użytkowej 44,25 m² zlokalizowanego w Warszawie przy ul. Siemieńskiego 17, lok. 33, 02-106 Warszawa, KW nr WA1M/00118892/3.

Opis lokalu:
Lokal mieszkalny znajduje się na 1 pierwszym piętrze. Składa się z 3 pokoi, kuchni, łazienki z toaletą i korytarzem oraz loggii.

Cena sprzedaży: 674.000,00 zł. Syndyk przewiduje licytację przedmiotowego udziału.
Aby przystąpić do konkursu ofert należy wpłacić **wadium** – szczegóły zostały określone w Regulaminie Sprzedaży.

Aby otrzymać Regulamin Sprzedaży i/lub operat szacunkowy proszę o kontakt na adres mailowy *michalinaszidlewska@gmail.com*.

Oferty należy **dostarczyć do Syndyka** do dnia **27 stycznia 2026 roku, godz. 10.30** osobiście lub listownie pod adres:
Syndyk Masy Upadłości: Wojciech Szidlewski, ul. Dworcowa 7, lok. 226, 62-020 Swarzędz.

Syndyk podkreśla, że za chwilę wpływu oferty uznaje się **datę i godzinę faktycznego wpływu oferty** na ww. adres, nie datę wysyłki korespondencji.

eprasa.pl 6521773fd7

MUZEUM DZIECI TRANSFORMACJI

Ludzie wychodzą stąd zadowoleni, bo mogli sobie przypomnieć lata dzieciństwa – mówi Sebastian Balcerzak, twórca w Bielsku-Białej jedynego w Polsce Muzeum lat 90.

Jacek Drost

Chcesz się przenieść do czasów swojego dzieciństwa lub młodości? Nic prostszego! Wystarczy, że wybierzesz się do Bielska-Białej i skierujesz swe kroki na ulicę Damrota 10 do otwartego niedawno jedynego w Polsce Muzeum 90, gdzie zebrano pamiątki z tamtych czasów.

FOT. ARC SEBASTIANA BALCERZAKA

Lubię dawne czasy. Często do nich wracam – mówi Sebastian Balcerzak, twórca Muzeum 90 w Bielsku-Białej

Podróż do przeszłości

„Nasze muzeum to nie tylko zbiory - to wehikuł czasu, który przenosi cię do jednej z najbardziej kolorowych i kontrastowych dekad w historii Polski. To okres pełen przemian: politycznych, kulturowych i technologicznych. Dla wielu z nas to czas dzieciństwa, pierwszych fascynacji popkulturą, pierwszych płyt CD, pierwszych komórek i gier komputerowych. Chcieliśmy uchwycić ten moment, zanim zniknie w otchłani zapomnienia. Dlatego przez lata z pasją zbieraliśmy przedmioty, któ-re tworzyły codzienność tego niezwykłego okresu - podkreślają ludzie z bielskiego Stowarzyszenia Retro Fani, które założyło Muzeum 90.

Prezesem stowarzyszenia jest Sebastian Balcerzak. Nie ukrywa, że jest człowiekiem sentymentalnym

- Lubię dawne czasy. Często do nich wracam, wspominając swoje dzieciństwo i młodość. Może nie było super, jeśli chodzi o kwestie finansowe, bo wiadomo, że to były czasy transformacji, bardzo trudne dla wielu ludzi, ale zupełnie inne - myślę, że bardziej docenialiśmy to, co mieliśmy, choć mieliśmy niewiele - mówi prezes Retro Fanów.

Nie ukrywa, że lubi coś organizować - na co dzień pracuje jako trener personalny, przygotowywał nad Białą trzy edycje zawodów ogólnosprawnościowych Impact Cross Games, ale chciał spróbować czegoś nowego, niekoniecznie związanego ze sportem, czegoś jeszcze się nauczyć.

- Poza tym lubię coś zbierać. Fajnie jest na coś polować i znajdować to po pół roku czy roku. To mi zostało z lat 90., bo wtedy kolekcjonerstwo, kiedy byłem dzieckiem, było popularne. Sporo ludzi coś kolekcjonowało - tazosy z chipsów, karteczki - wspomina Sebastian Balcerzak, który postanowił otworzyć w Bielsku-Białej muzeum w klimacie lat 90.

Pomysł pojawił się dwa lata temu, kiedy Balcerzak odwiedził bielskie Muzeum Fiata 126p.

- Pomyślałem, że fajnie byłoby zebrać te wszystkie rzeczy z mojego dzieciństwa, ale także z różnych dziedzin życia w jednym miejscu, i pokazać je ludziom. Zacząłem szukać, czy w Polsce jest jakieś muzeum lat 90. Nie znalazłem. Są fajne, ciekawe muzea odnoszące się do czasów PRL-u, najbliższe w Rudzie Śląskiej, czy Muzeum Sentymentów w Kowarach, ale muzeum skupiającego się typowo na dekadzie lat 90. nie znalazłem. Pomyślałem, dlaczego nie zrobić takiego muzeum w Bielsku-Białej? Miasto słynie z lat 90. Mieliśmy choćby festiwal z muzyką lat 90. - opowiada.

Kasety VHS, tamagotchi i inne cuda

„Wystawa powstała z potrzeby zachowania wspólnej pamięci - tej bliskiej, osobistej, często zabawnej, czasem wzruszającej" - podkreślają Retro Fani.

Sebastian Balcerzak mówi, że ze zdobyciem eksponatów było różnie. Jedne udało się znaleźć szybko, inne to białe kruki i polowanie na nie długo trwało.

- Na przykład w Polsce jest sporo kolekcjonerów kaset VHS. Niektórzy wyprzedają swoje kolekcje, więc nie ma z nimi problemu. Podobnie z kasetami magnetofonowymi czy sprzętem RTV. Były jednak eksponaty, które chciałem mieć, wiedziałem, że muszą się tutaj znaleźć i był problem z ich zdobyciem. Aparatu telefonicznego na karty szukałem nawet dwa lata - opowiada prezes Retro Fanów.

Ciężko było także zdobyć oryginalne tamagotchi z lat 90. - kultową, jajowatą, elektroniczną zabawkę firmy Bandai (zadebiutowała w 1996 roku, a w Polsce popularność zyskała w 1997 r.), polegającą na opiece nad wirtualnym zwierzakiem (karmienie, sprzątanie, zabawa).

- Są produkowane nowe tamagotchi, ale nie ma oryginalnych z lat 90. - podkreśla Sebastian Balcerzak.

Eksponaty zgromadzone w kilku pomieszczeniach zostały podzielone na różne działy tematyczne. Osobno można zobaczyć np. sprzęt elektroniczny.

„To hołd dla technologii, która kształtowała naszą codzienność - z nieporęcznym pilotem, migoczącym ekranem kineskopowym i szumem kasety, który był dźwiękiem domowego relaksu" - podkreślają Retro Fani.

Można także zajrzeć do pomieszczenia, które przenosi nas do wypożyczalni kaset VHS.

„Na specjalnych półkach możesz zobaczyć ogromną kolekcję kaset VHS, gdzie odnajdziesz największe klasyki lat 90. Znajdziesz tutaj również sporą ilość oryginalnych kaset magnetofonowych, kultowe zespoły lat 90., pierwsze składanki nagrywane z radia, a nawet smerfne hity - pamiętasz? W osobnym kąciku czeka na Ciebie miejsce do słuchania i oglądania - z klasycznym wal-kmanem i słuchawkami oraz gazetami z tamtych lat. „Bravo", „Tina", Tele Tydzień", „Komputer i Świat" - lektura obowiązkowa w każdej kategorii wiekowej. To miejsce tętni wspomnieniami o świecie, w którym każda piosenka była „łapana" na antenie, a każda kaseta nosiła ślady intensywnego użytkowania. Tu dźwięk był fizyczny. I osobisty - dodają Retro Fani.

Prócz tego są także m.in. gry z tamtego czasu, zabawki z dzieciństwa, można zobaczyć typową modę z lat 90., a także...

„Zapraszamy do mieszkania, które mogło należeć do każdej rodziny z lat 90. To nie tylko miejsce - to klimat, zapach meblościanki i dźwięk rozmów w kuchni. Przekraczając próg tej wystawy, przenosisz się do typowego M-2, w którym wychowało się całe pokolenie dzieci transformacji" - zachęcają Retro Fani.

Sebastian Balcerzak wyjaśnia, że w Muzeum 90 nie zgromadził 40 różnych telewizorów z tamtych czasów, bo nie chciał zagracać ekspozycji, ale postanowił pokazać przykładowe modele, najbardziej popularne w tamtych czasach.

Jak nagrać takim telefonem filmik?

Zwraca także uwagę, że lata 90. inaczej pamiętają osoby, które były wówczas dziećmi, inaczej ówczesna młodzież, a inaczej dorośli. Dlatego w Muzeum 90 pojawiło się trochę eksponatów pochodzących z poprzedniej, PRL-owskiej epoki, m.in. meblościanka, czerwony dywan czy tapety.

- Wiele osób przychodzi tutaj z zamiarem pokazania swoim dzieciom, jak wyglądało ich dzieciństwo czy młodość, a wychodzą stąd bardziej podekscytowani niż dzieci. Dzieci popatrzą bowiem na telefon z lat 90. i zadają pytania, jak nagrać czymś takim filmik na TikToka, pograją w gry, ale oczy zaczynają ich boleć od starych kineskopów, a dorośli jednak chcą tu zostać i powspominać - mówi Balcerzak.

Muzeum 90 czynne jest od piątku do niedzieli. Żeby je odwiedzić, trzeba wcześniej się umówić. Warto już teraz zarezerwować sobie czas.

- Cieszę się, że ludzie wychodzą stąd zadowoleni, uśmiechnięci, bo mogli sobie przypomnieć lata młodości czy dzieciństwa. To zawsze powoduje u nas fajny nastrój, czasami nawet euforię - uśmiecha się Sebastian Balcerzak.

FOT. JACEK DROST

Czy wasz pokoik także tak wyglądał w latach 90.?

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 6521773fd7

Polska
Poniedziałek, 29.12.2025

Porządki, zwłaszcza te wielkie, noworoczne, to często czas, w którym przeszłość ląduje w śmietnikach. Problem w tym, że część „gratów" to pełnoprawne przedmioty kolekcjonerskie, na których można nieźle zarobić

Adam Willma

SKARBY KOLEKCJONERSKIE Z PIWNIC

FOT. JAKUB BURZYŃSKI

PRL-owskie podróbki figurek bohaterów „Gwiezdnych wojen" stały się jednym z największych przebojów na rynku kolekcjonerskim. Najrzadsze modele uzyskują bardzo wysokie ceny. Ale uwaga! Na rynku pojawiły się już... podróbki podróbek

Nie każdy kryształ i nie każda figurka z PRL mają realną wartość. Ale są kategorie, w których pojedynczy egzemplarz (w dobrym stanie i rozpoznanej wersji) zaczyna być wart tyle, ile porządny sprzęt RTV lub weekendowy wyjazd.

Audio z PRL: Radmor i spółka

PRL-owska elektronika najwcześniej wkroczyła na kolekcjonerskie salony. Tu działa prosta zasada: w obieg kolekcjonerski wchodzi egzemplarz po profesjonalnym serwisie albo z pełnym zestawem (pudełko, instrukcja, dokumentacja). W przypadku amplitunerów Unitry/Radmoru widać to po rozstrzale cen. Radmor 5102 po kompleksowej renowacji może osiągać cenę nawet blisko 3 tys. zł. Wartość kurczy się zwykle wskutek braku gałek, oryginalnych pokryw, a zwłaszcza „domowych przeróbek" i nieprofesjonalnego przestrajania. Wystawiając sprzęt, pamiętajmy o zdjęciach wnętrza, tabliczki znamionowej i stanu frontu (otarcia, wgniecenia, brakujące elementy).

Wśród wysoko cenionych „klocków" elektronicznych znajduje się również amplituner Elizabeth.

Kryształy i szkło PRL: nie wszystko cenne, co się świeci

Najczęściej wyrzucane „kryształy" to kategoria, w której różnica między 50 a 3 000 zł potrafi kryć się w jednym detalu. Ząbkowice i projekty Jana Sylwestra Drosta (np. „Asteroid") to dziś najwyżej wyceniany segment szkła prasowanego z PRL. Duże wazony w dobrym stanie są oferowane zwykle w przedziale 1 200-2 500 zł, a nietypowe warianty lub bardzo duże formy bywają wystawiane nawet powyżej 3 000 zł. Huta Julia to rynek bardziej nierówny: typowe wazony i misy osiągają 80-200 zł, ale wybrane modele, zwłaszcza większe lub o rozbudowanym szlifie, potrafią dojść do 400-600 zł. Huta Irena (Inowrocław) mieści się pomiędzy tymi poziomami. Najczęstsze patery i wazony to 70-200 zł, ale rozpoznane modele z lat 70., szczególnie duże patery na nodze lub nietypowe kolory, pojawiają się w ofertach 400-800 zł. W obiegu są też wyroby Huty Sudety, Tarnowiec i mniejszych zakładów. Tu ceny zwykle zaczynają się od 50-150 zł, ale przy rzadkich formach i idealnym stanie potrafią dojść do 300-500 zł. Decydujące są ranty, przejrzystość szkła i brak zmatowień - mikrouszczerbienie potrafi zbić cenę o połowę. Jeśli na spodzie jest naklejka, napis producenta, a forma wygląda „katalogowo" (szlif, charakterystyczny dekor, nietypowy kolor), lepiej najpierw zidentyfikować obiekt, zanim oddamy go za grosze.

Kultowa ceramika: Włocławek wraca do łask

Ceramika i porcelana z PRL oraz lat 50.-70. coraz częściej wyceniane są jak wzornictwo, a nie wyposażenie kuchni. Najwyższe stawki wchodzą w grę, gdy pojawiają się obiekty, które da się przypisać do konkretnej wytwórni i projektu - zwłaszcza figurki oraz formy dekoracyjne w świetnym stanie (bez klejeń i wyszczerbień na rancie). Od lat wielbicieli mają produkty z Chodzieży i Ćmielowa: w wynikach aukcyjnych pojawiają się figurki projektowane przez Henryka Jędrasiaka, wylicytowane za 2 800-3 500 zł (w zależności od modelu i stanu), a pojedyncze prace potrafią być notowane jeszcze wyżej. Na wyobraźnię działa nazwisko Mieczysława Naruszewicza - figurka „Dziki kot" została sprzedana za ponad 600 euro.

Na rynku pojawiają się też wysoko cenione obiekty z Pruszkowa, gdzie pojedyncze figurki potrafią osiągać ok. 150 euro w sprzedaży aukcyjnej. Osobny nurt to ceramika kamionkowa i spółdzielcza, często trzymana latami jako dekoracja z półki. Wyroby Kamionki Łysa Góra w obiegu ofertowym widnieją często w widełkach ok. 70-150 zł za misy i talerze dekoracyjne (wyżej przy większych formach i dobrym wzorze).

W tym pejzażu Włocławek jest jednym z najmocniejszych atutów, bo sławne „pikasiaki" stały się już powszechnie rozpoznawalne. Domy aukcyjne ustawiają cenę wywoławczą dla niektórych obiektów z Włocławka na poziomie 700 zł. W obiegu ofertowym widać także tańsze, częstsze talerze w stylu „pikasiak" po 120-150 zł. Ostateczna cena wynika z formy, oryginalności malowania i udokumentowania wersji. I tu znowu wartość spada przez drobiazgi: mikrouszczerbienia na rancie, spękania szkliwa, niewidoczne klejenia oraz brak zdjęcia spodu z sygnaturą. A to właśnie sygnatura i stan najczęściej przesuwają obiekt z poziomu kilkudziesięciu złotych do kilkuset (albo wyżej).

Spółdzielnie i rzemiosło artystyczne: metka ma znaczenie

W wyrobach spółdzielni rzemieślniczych i artystycznych działa mechanizm podobny jak w modzie vintage: bez metki są ładne, z metką - poszukiwane. Rynek coraz wyraźniej odróżnia anonimowe rzemiosło od obiektów przypisanych do konkretnej spółdzielni, środowiska projektowego lub miasta. Dobrym przykładem pozostaje spółdzielnia ORNO, której srebrna biżuteria z lat 60. i 70. jest dziś rozpoznawalna formą, masywnością i technikami jubilerskimi. Pojedyncze brosze, pierścionki czy naszyjniki ORNO w obiegu aukcyjnym osiągają zwykle 800 do 3 tys. zł, za to bardziej rozbudowane formy lub komplety potrafią przekraczać 3,5 tys. zł.

Najczęstszy błąd przy porządkach to oddawanie takiej biżuterii „na wagę". Pamiętajmy: w segmencie designerskim o cenie decydują punce, autorstwo i spójność projektu, a nie liczba gramów srebra.

Coraz częściej w tym samym kontekście pojawia się także Spółdzielnia Pracy Rękodzieła Artystycznego „Rzut" z Torunia (pierwsza taka w powojennej Polsce), działająca od 1946. Związany z toruńskim środowiskiem plastycznym „Rzut" specjalizował się m.in. w ceramice artystycznej, drobnych formach użytkowych, dekoracjach oraz elementach wystroju wnętrz, które trafiały zarówno do Cepelii, jak i na rynek eksportowy. Wyroby tej spółdzielni długo były traktowane jako lokalne rzemiosło użytkowe, dziś jednak zaczynają funkcjonować jako regionalny wariant polskiego modernizmu.

Na rynku wtórnym prace przypisywane „Rzutowi" pojawiają się najczęściej w przedziale 200-600 zł za pojedyncze obiekty (np. misy, patery, formy

eprasa.pl 6521773fd7

dekoracyjne), a większe lub bardziej charakterystyczne formy, zwłaszcza z zachowaną metką lub sygnaturą, potrafią dochodzić do 800-1200 zł. W przypadku zestawów lub obiektów o wyraźnie modernistycznej formie ceny szybują jeszcze wyżej, szczególnie gdy da się potwierdzić pochodzenie i okres produkcji. Kluczowe znaczenie mają detale: papierowe metki Cepelii, pieczęcie spółdzielni, sygnatury na spodzie obiektu oraz brak późniejszych napraw i„upiększeń". Wiele prac „Rzutu" trafia na śmietnik właśnie dlatego, że kojarzą się ze zwykłym rzemiosłem z lat 60. czy 70. Tymczasem dla kolekcjonerów designu i regionalnego wzornictwa to ważny segment, który dopiero buduje swoją pozycję cenową. Największy potencjał mają tu obiekty kompletne, nieczyszczone agresywnie i z zachowaną dokumentacją sprzedażową.

Komiksy z PRL. Papier wymienię na dolary

Rynek komiksów z PRL jest silnie zróżnicowany, ale wbrew pozorom nie ogranicza się do „Relaksu" i dzieł Janusza Christy. O cenie decydują rocznik, kompletność i stan, a nie sam tytuł. „Relax" pozostaje jednak punktem odniesienia. Pojedyncze numery w dobrym stanie osiągają zwykle 120-300 zł, zależnie od numeru i jakości papieru. Zestawy obejmujące większą część serii - np. numery 1-15 - bywają wystawiane w przedziale 1,2 tys. do 1,6 tys. zł, a kompletne, ładnie zachowane ciągi potrafią przekraczać 2 000 zł. Komiksy Janusza Christy („Kajko i Kokosz") funkcjonują w obiegu głównie jako roczniki prasowe. Komplety „Świata Młodych" z lat 80. z pełnym zestawem odcinków osiągają 1500-2000 zł, przy czym cena spada gwałtownie, jeśli brakuje kilku numerów lub papier nosi ślady zawilgocenia. W przypadku „Kapitana Żbika" pojedynczy zeszyt bywa wart 30-80 zł, ale pełna seria w podobnym stanie, bez rdzy na zszywkach, potrafi być sprzedawana za 800-1200 zł. Podobnie z „Pilotem śmigłowca" czy „Binio Billem".

Figurki z „Gwiezdnych wojen" - polskie „bootlegi", które zawojowały światowy rynek

W Polsce lat 80. oryginalne figurki bohaterów z „Gwiezdnych wojen" były praktycznie niedostępne. Nisze na rynku zajęli więc pomysłowi „prywaciarze" Dziś ich nielicencjonowane produkcje stanowią jeden z najbardziej poszukiwanych segmentów wśród kolekcjonerów Star Wars na świecie. Pojedyncze polskie figurki bootlegowe, luzem, w dobrym stanie, osiągają zazwyczaj wartość 100 do kilkuset zł za sztukę. Najrzadsze osiągają ceny kilku tysięcy, lecz jest ich naprawdę niewiele i ich identyfikacja wymaga doświadczenia w branży. Najdroższe są figurki z oryginalnym opakowaniem (blister lub kartonik z polskim opisem, nazwą producenta to już całkiem okrągła kwota, zwłaszcza przy potwierdzonej „autentyczności" (hmmm...). To wartości porównywalne z oryginalnymi, wczesnymi oryginalnymi figurkami Kennera w świetnym stanie. Rynek jest jednak wrażliwy na składaki: wymienione kończyny, domalowania czy „dorabiane" opakowania potrafią obniżyć wartość do kilkuset złotych. Amatorzy łatwego zarobku muszą jednak uważać, bo na rynku pojawiły się już...podróbki PRL-owskich podróbek.

Skarby przywiezione w walizkach

W polskich domach do dziś krążą przedmioty przywiezione z krajów RWPG. Część z nich ma dziś stabilne ceny kolekcjonerskie. Obiektem marzeń bułgarskich kolekcjonerów są przede wszystkim rzadkie winyle Balkanton. O ile typowe tytuły kosztują 60-150 zł, to licencyjne tłoczenia zachodnich artystów w świetnym stanie potrafią osiągać 300-500 zł. Ceramika Troyan to zazwyczaj 80-200 zł, większe zestawy do 300 zł. Kolekcjonerzy z Węgier szukają wczesnych kostek Rubika. Zwykłe egzemplarze to 100-200 zł, ale wczesne wersje „Magic Cube" z pudełkiem osiągają 600-1 200 zł. Porcelana Zsolnay z eozyną to inna liga: mniejsze obiekty zaczynają się od 1,5-2 tys. zł, większe formy dochodzą do 8000-10000 zł.

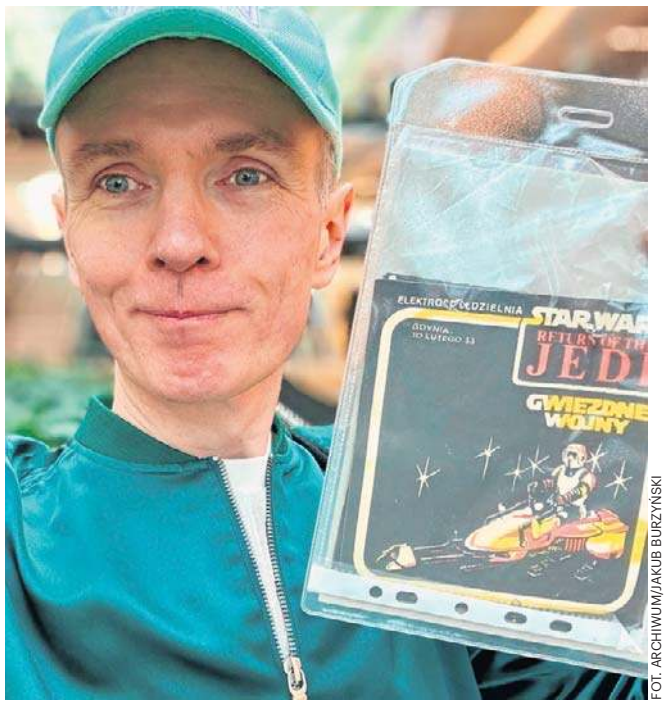

FOT. ARCHIWUM/JAKUB BURZYŃSKI

Jakub Burzyński, dyrygent, kontratenor, prywatnie właściciel największej kolekcji polskich figurek z „Gwiezdnych wojen" i autor monografii na ten temat

Jugosławia to głównie meble modernistyczne. Krzesła Niko Kralja „Rex" są sprzedawane za 500-800 USD za sztukę, a komplety kilku krzeseł potrafią kosztować 3-4tys. USD. Z produktów dawnej Czechosłowacji na giełdach kolekcjonerskich poszukiwane są zabawki Merkur. Małe zestawy to 200-400 zł, duże, kompletne zestawy w pudełkach osiągają 1,5-3 tys. zł. Figurki Igráček w pudełkach to 150-300 zł za sztukę. Z pozostałości po NRD cenę trzymają kolejki TT. Pojedyncze lokomotywy to 300-700 zł, a kompletne zestawy z pudełkiem i zasilaniem potrafią dochodzić do 2 tys.-4 tys. zł.

Rarytasy z byłego ZSRR: dostęp mają Ukraińcy

Na polskich portalach ogłoszeniowych i giełdach staroci coraz częściej pojawiają się przedmioty z byłego ZSRR przywożone przez Ukraińców. To dziś jedno z ważniejszych źródeł autentycznych egzemplarzy, często w lepszym stanie niż obiekty, które krążyły w Polsce od dekad. Najbardziej stabilnym segmentem pozostają radzieckie zegarki mechaniczne. Typowe modele Poljot, Rakieta i Wostok kosztują zwykle 300-600 zł, ale wersje wojskowe i lotnicze, w tym modele Szturmańskie czy określone serie Komandirskich, osiągają 1200-3000 zł. O cenie decyduje zgodność tarczy, koperty i mechanizmu - składaki potrafią obniżyć wartość nawet o połowę.

Wzięcie mają także kieszonkowe gry i elektronika użytkowa. Gry Elektronika (np. „Nu, pogodi!") w stanie sprawnym kosztują 400-700 zł, a egzemplarze z pudełkiem i instrukcją potrafią dojść do 1000-1200 zł. W podobnych widełkach poruszają się inne radzieckie urządzenia elektroniczne z lat 80., pod warunkiem braku korozji i wycieków baterii. Coraz częściej pojawiają się zapytania o zabawki i modele techniczne z ZSRR, zwłaszcza metalowe i blaszane. Proste modele i figurki osiągają 100-300 zł, ale większe, kompletne zestawy lub rzadkie serie potrafią być wyceniane na 600-1000 zł. W tej kategorii liczy się kompletność i oryginalne opakowanie, które w ZSRR było rzadko zachowywane. W obiegu pojawiają się także radzieckie radioodbiorniki, magnetofony i drob-ny sprzęt audio. Mniejsze urządzenia w stanie do uruchomienia kosztują zwykle 200-500 zł, natomiast modele bardziej rozpoznawalne, kompletne i sprawne technicznie dochodzą do 800-1200 zł. Największym problemem są tu nieprofesjonalne naprawy i brak oryginalnych gałek lub skali. Najwyższe ceny osiągają jednak memorabilia programu kosmicznego ZSRR. Nawet niewielkie przedmioty - odznaki, dokumenty, fotografie, fragmenty wyposażenia - z potwierdzonym związkiem z misjami kosmicznymi mogą kosztować po kilka tysięcy złotych. Obiekty z udokumentowaną proweniencją lub związane bezpośrednio z kosmonautami, potrafią być wyceniane znacznie wyżej i funkcjonują już w międzynarodowym obiegu aukcyjnym. I tu również rynek premiuje autentyczność, zgodność elementów i brak ingerencji. Przedmioty „zbyt ładne", odnowione bez dokumentacji lub składane z części szybko tracą wiarygodność - a wraz z nią cenę.

Chiny, Wietnam, Kuba: „egzotyka socjalistyczna", która ma już rynek i ceny

W polskich domach trafiają się także przedmioty przywiezione z krajów socjalistycznych poza Europą - najczęściej jako pamiątki z delegacji, studiów zagranicznych albo handlu wymiennego. Przez lata uchodziły za ciekawostki bez większej wartości, dziś jednak część z nich funkcjonuje w wyspecjalizowanych niszach kolekcjonerskich. Popularnością cieszą się - o zgrozo - przedmioty z okresu maoistowskiego. Oryginalne wydania „Czerwonej książeczki" z lat 60. i wczesnych 70. w dobrym stanie kosztują zwykle 300-800 zł, ale egzemplarze nietypowe (wczesne wydania, obce języki, dedykacje) potrafią osiągać 1500-3000 zł. Poszukiwane są też porcelanowe figurki i naczynia propagandowe z epoki rewolucji kulturalnej - typowe obiekty to 400-1000 zł, większe i rzadkie formy wyżej.

Wietnam pojawia się na rynku głównie poprzez plakaty propagandowe z okresu wojny i pierwszych lat powojennych - oryginały w dobrym stanie osiągają 500-1500 zł, a większe formaty lub prace rozpoznawalnych grafików bywają droższe. Zbierane są również wietnamskie lakierowane wyroby rzemieślnicze z lat 60.-80., które w zależności od formy kosztują 300-900 zł.

Kuba to przede wszystkim plakaty OSPAAAL i filmowe ICAIC: mniejsze formaty zaczynają się od 600-1 000 zł, a lepiej zachowane, efektowne projekty osiągają 1500-4000 zł. W obiegu są także drobne przedmioty propagandowe - odznaki, medale, elementy umundurowania - zwykle 200-600 zł, przy czym o cenie decyduje stan i czytelność symboliki. Wspólną cechą tych rynków jest duża wrażliwość na autentyczność i stan - reprodukcje i późniejsze pamiątki turystyczne są często bezwartościowe, natomiast oryginały z epoki, nawet niewielkie, mają realny walor kolekcjonerski i coraz częściej trafiają do obiegu międzynarodowego. ©℗

FOT. AW

Rzadkie opakowanie wedlowskich czekoladek z lat 60.

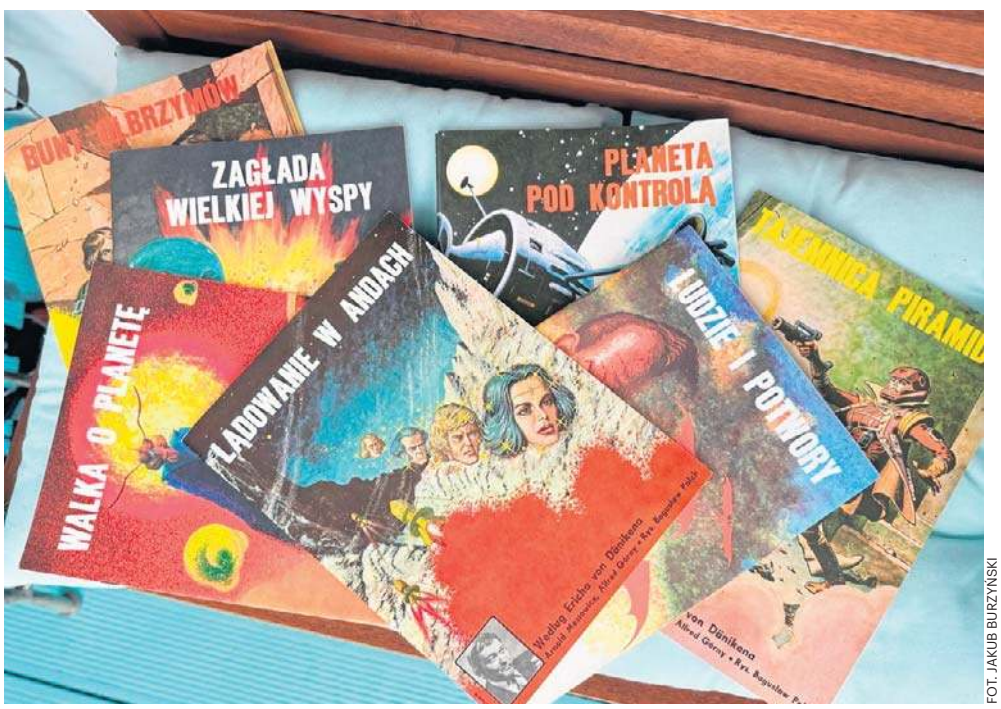

FOT. JAKUB BURZYŃSKI

Komiksy z czasów PRL-u to od dawna obiekt pożądania

eprasa.pl 6521773fd7

Polska
Poniedziałek, 29.12.2025

– Grudzień to czas, w którym żegnamy emocje, by nie wnosić do Nowego Roku tego, co niezakończone w sercu. Moja babcia mówiła: wszystko, co stare i trudne, oddaj ogniowi, on postawi ścianę między tym, co było, a tym, co jest. Narzekanie w noc sylwestrową to jak zamówienie: co wypowiadasz o północy, to wraca w kolejnych miesiącach – mówi Aida Kosojan-Przybysz, wizjonerka i wokalistka

Anita Czupryn

AIDA KOSOJAN-PRZYBYSZ: W NOWY ROK WEJDŹ TRZEŹWO, NA PROSTYCH NOGACH

W książce „Potęga obfitości" pisze Pani, że grudzień to najstarszy z miesięcy, a wszystkie inne są jego młodszymi braćmi. Co to znaczy w praktyce? Jak zwykły człowiek powinien traktować końcówkę roku?

Przede wszystkim z szacunkiem. Grudzień to miesiąc, który zamyka za sobą cały rok. To czas przemyśleń, analizy, cofnięcia się, spokojnego spojrzenia za siebie, ale nie po to, żeby mieć pretensje. Trzeba umieć pożegnać pewne emocje, relacje, wydarzenia. Najgorzej jest wtedy, kiedy wszystkie swoje trudne sprawy, a zwłaszcza te niezakończone w sercu, wnosimy w Nowy Rok.

Grudzień, szczególnie w tej naszej części świata, jest miesiącem zimnym. A zima sprzyja temu, żeby zwolnić. Nawet ja, choć urodziłam się w Gruzji, kojarzę go z rozpalaniem kominka, z zapalaniem świec. Moja babcia mówiła: „Wszystko, co stare, trudne i problematyczne, trzeba oddać ogniowi i oczyścić myśli". Ogień nie jest żywiołem tylko od ogrzewania. Potrafi też postawić wielką ścianę między tym, co było, a tym, co jest, spalić to, co trzeba spalić.

To jest też miesiąc, w którym powinniśmy znaleźć czas na rozmowy. Nie tylko z bliskimi, ale i ze sobą. Osobiście w grudniu zawsze robię mój własny research: patrzę wstecz i zastanawiam się, kto w moim życiu został w tym roku, a kto z niego wysiadł. I nie mówię o śmierci, tylko o tym, że ktoś po prostu wysiada z naszego pociągu życia. Rozstania, mijanie się, odchodzenie w swoją stronę… Grudzień jest świetnym momentem, żeby wokół siebie posprzątać. Nie tylko w domu czy mieszkaniu, ale też w emocjach. Posegregować to, co czujemy.

I jeszcze jeden temat: odpuszczanie czy też wybaczanie. W Polsce usłyszałam, że bardzo ważne jest, aby przed świętami przeprosić i wybaczyć, żeby nie wchodzić w nowy czas z bagażem cierpienia. Grudzień, jako ten najstarszy brat, jest miesiącem mądrości, zasiadania przy o stole, dzielenia się nie tylko opłatkiem, ale też uczuciami. Słowem: człowiek się w grudniu dzieli. Wiele osób w tym czasie szczególnie cierpi, bo siadając przy stole, nie ma z kim się podzielić opłatkiem. Często myślą, że to czas totalnej samotności. A ja uważam, że grudzień może być też świetnym momentem wspominania przodków i to w dobrym znaczeniu tego słowa. To czas dotknięcia starych albumów, połączenia się z tym, co było. Żeby wejść w kolejny rok mądrzej i lżej, naradźmy się ze sobą, jakie emocje chcemy wnieść do nowego czasu.

Dla wielu z nas grudzień kojarzy się z korkami, pośpiechem, zakupami, kolejkami i w końcu ze zmęczeniem. Z czym ludzie najczęściej przychodzą do pani o tej porze roku?

Przychodzą do mnie często ci, którzy akurat w grudniu są w Warszawie. Mieszkają na drugim końcu świata, ale wiedząc, że na święta przyjeżdżają do rodziny, przy okazji zapisują się na wizytę. Dlatego mnie się grudzień kojarzy z bardzo ciepłą energią i korzystnymi emocjami. Zatem wracając do pośpiechu i korków, to mam wrażenie, że ludzie zapominają, że najważniejsze jest dzielenie się emocjami.

W grudniu łatwo zgubić uważność, a nieuważność kończy się często wypadkami, dosłownie i w przenośni. Uważam, że jeśli ktoś się nie spieszy i zaufa temu, co jest, nawet tym korkom, bo może przecież stojąc w korku, zadzwonić do przyjaciela, o którym nie pamiętał od wielu miesięcy. I nagle ten stracony czas robi się ważny. Ale są też tematy trudniejsze. Grudzień przynosi sporo rodzinnych konfrontacji. Przychodzą do mnie osoby, które boją się odwiedzać w święta tych, z którymi są skonfliktowane. Pytają: „Czy powinnam? Powinienem? Czy wyciągnąć rękę?". Jeśli konflikt trwa latami, a w święta udajemy, że nic się nie dzieje, to tworzy różne problemy: emocjonalne, w końcu zdrowotne. Grudzień nie jest miesiącem udawania. Wszystko, co zamiatamy pod dywan, wraca czkawką, albo w psychice, albo w ciele. Jest też weryfikacja relacji. I to prawda: to miesiąc, w którym bardzo dużo osób się oświadcza, bo to czas otwierania prawdziwych uczuć. Ale jednocześnie mnóstwo ludzi patrzy na to, z kim chce spędzić sylwestra. W myśl przysłowia: „Jak przywitasz Nowy Rok, tak spędzisz cały rok".

U mnie w domu funkcjonowało podobne powiedzenie: „Jak pożegnasz stary rok, tak przywitasz nowy". Jak żegnać stary rok? Co ma największą moc w sylwestrową noc?

Moja babcia zawsze mówiła: „W Nowy Rok pilnuj, co mówisz". Nawet w noc sylwestrową. Bo każde narzekanie jest jak zamówienie. Jak narzekasz, to zamawiasz narzekanie na przyszły rok i znowu będzie źle. Jak zaczynasz konflikty i rozliczenia w sylwestra, to jakbyś zamawiała kłótnie na cały rok. Druga rzecz: w Nowy Rok warto wejść trzeźwo, na własnych nogach. Są ludzie, którzy wchodzą w Nowy Rok w mocno wesołym stanie. A ja uważam, że każdy Nowy Rok kocha to, żeby wejść w niego prosto: na równych nogach, z uśmiechem i ze świadomością, gdzie stąpa twoja stopa. Ważne jest też to, z kim żegnasz stary rok. Jeśli siadamy przy stole i idziemy tam, gdzie wcale nie chcemy być, wtedy człowiek wchodzi w Nowy Rok w nieprawdzie wobec siebie. Zauważyłam, że wiele osób świadomie wychodzi z relacji właśnie na tym przełomie starego i Nowego Roku. Znam mnóstwo takich historii, kiedy ktoś w ostatniej chwili odwołuje wspólnego sylwestra i nie chodzi o chorobę, tylko o to, że ktoś z kimś nie chce być. To moment, w którym wychodzi szydło z worka: odsłaniają się prawdziwe emocje, chęci, zamiary. To jest czas lustra. Tak nazwałam Nowy Rok – rokiem lustra. Na razie jeszcze kręcimy się w obrotowych drzwiach i te wpływy roku obrotowych drzwi będą działały do końca stycznia. Lustro jest jeszcze zaparowane poprzednim rokiem i trudnymi emocjami. Kiedy ono będzie odparowywać, będziemy widzieć swoje prawdziwe odbicie; będziemy doczyszczać lustro z tego, co było, jeszcze do końca stycznia.

NAJWAŻNIEJSZE DLA MNIE SĄ TE OSTATNIE MINUTY PRZED PÓŁNOCĄ, DWANAŚCIE UDERZEŃ ZEGARA, OSTATNIE SEKUNDY, MOMENT PRZEJŚCIA. MISTYCZNY MOMENT

Urodziła się pani w miejscu, gdzie, jak pisze w książce „powietrze pachnie mandarynkami, polami herbacianymi, falami Morza Czarnego". Jak pachniały pani dziecięce grudnie?

Mój grudzień pachniał przede wszystkim cytrusami, bo to jest sezon mandarynek i pomarańczy. U mojej babci w ogrodzie rosły świeże owoce, więc na stole zawsze były cytrusy. Były też nasze tradycyjne słodycze. Na przykład czurczchela. Jestem Ormianką, ale urodzoną w Gruzji, więc te smaki były obecne od zawsze. Czurczchela to orzechy nawleczone na nitkę, jak koraliki, a potem zanurzane w gotowanej masie winogronowej zagęszczonej mąką kukurydzianą. Wiszą potem jak na sznurkach i wyglądają jak świeczki, a w rzeczywistości są smakołykiem. Były kozinaki, czyli orzechy gotowane w miodzie. No i suszone owoce. To była podstawa grudniowych stołów. Suszone kaki, na które w Polsce mówi się persymona, czasem szaron. W naszej rodzinie odbywało się pieczenie noworocznego ciasta, w którym zawsze musiała być monetka. A potem wszyscy czekali, kiedy ciasto zostanie pokrojone i kto w tym roku trafi na monetkę. Wierzyliśmy, że komu wpadnie na ząb, ten będzie miał szczęśliwy rok.

Pamiętam też piękny zwyczaj, kiedy w grudniu chodziło się po rodzinie, sąsiadach z czymś słodkim. Przekraczało się próg domu i rzucało cukierki, żeby nowy rok był słodki. Nigdy nie wychodziło się w Nowy Rok z pustymi rękoma. Dla mnie, jako dla dziecka, to był czas, kiedy sprzątało się cały dom. Szykowało potrawy, żeby stół był obfity na zakończenie, na pożegnanie starego roku. Żeby pokazać: jesteśmy razem, niczego nam nie brakuje i żeby niczego nie zabrakło w nowym roku. Mama gotowała przepysznie i do dziś przepysznie gotuje. Babcia robiła kurczaka w sosie orzechowym, podawanego na zimno. Te potrawy często lądują na moim stole tutaj, w Polsce. Przywozimy przyprawy. Smak i zapach ziół z moich rodzinnych stron jest też w moim polskim domu.

Jest taka scena z dzieciństwa, z tych grudniowych czasów, którą nosi pani w sobie jak talizman?

To moment, na który czekam cały rok, kiedy otwierałam pudełko i wyciągałam z niego ozdoby choinkowe. Zawsze to było przeżycie. A kiedy jakaś bombka się potłukła, babcia mówiła: „To na szczęście". I rzeczywiście, wtedy nie przesiąkałam smutkiem. Jedna z moich babć mieszkała w Machindżauri, druga w Batumi; mieszkaliśmy blisko siebie, w jednym budynku, więc odwiedzanie domu babci miało dla mnie ogromny sentyment. Pamiętam piec metalowy, rozgrzany, a na nim skórki z obranych mandarynek. Lekko przypalały i szedł od nich taki zapach… Kiedy zostawałam

eprasa.pl 6521773fd7

u babci na noc, wieczorem paliła się lampka oliwna zawieszona pod ikoną. To były dla mnie momenty jednocześnie mistyczne, kulinarne i emocjonalne. Piękny czas. Myślę, że teraz docenia się go jeszcze bardziej. Wtedy czekało się, kiedy podadzą ciasta, a dziś wspomina się, jak to było cudnie wspólnie, kiedy wszyscy jeszcze żyli. Teraz sama już jestem babcią. Zastanawiam się, co bym chciała, żeby moja wnuczka zapamiętała i po latach powiedziała: „To był fajny moment. Mistyczny moment wychodzenia z jednego roku i wchodzenia w kolejny".

W „Potędze obfitości" prowadzi nas pani przez dom: od progu, przez drzwi, okna, lustra, kuchnię, sypialnię, szafę, zwraca uwagę na biżuterię, na tym, czym są pieniądze. Jeśli myślimy o grudniowych porządkach, to które miejsce w domu najbardziej mówi prawdę o naszym życiu? Kuchnia? Sypialnia? Łazienka?
Nie wydzielam jednego takiego miejsca. Tak jak nie mogę powiedzieć, że jeśli jedna noga jest brudna, to cały człowiek jest brudny. Może po prostu jedną nogą akurat w coś wdepnął i ubrudził but. Dom traktuję jako całość. Można mieć na zewnątrz posprzątane, a w szafach chaos. Dla mnie energia domu jest otwarta na szczęście wtedy, kiedy nie ma zagracenia. I nie ma znaczenia, w którym miejscu ono jest. Trzeba umieć żegnać się ze starymi rzeczami. Nie zbierać słoików, butelek, pudełek, starych reklamówek, niepotrzebnych rzeczy i takich, których nie używamy. Dom traktuję jak ciało i nie da się całego ciała ocenić po jednym fragmencie. Oczywiście każda przestrzeń mówi o czymś innym. Na przykład: jeśli człowiek śpi w brudnej pościeli, rzadko ją zmienia, nie pierze zasłon, nie dba o podstawy, to znak, że jest oderwany od rzeczywistości, jakby nie był ze sobą w zgodzie. Ale jeśli miałabym wskazać coś, co wiele mówi, to są rzeczy, których używamy na co dzień i które powinny być w bieżącej czystości: ręczniki, pościel, lustra. Czyste lustra, żeby człowiek widział siebie prawdziwego, a nie niewyraźnego i zamazanego.

Słyszałam, że sprzątając szafę, człowiek jednocześnie sprząta też swoje wnętrze, układając T-shirty, układa i w swojej głowie.
Podobnie mówi się o torebce. Wystarczy zobaczyć, co w niej jest: rzeczy, które nosisz od tygodnia, a dawno powinnaś była wyjąć – i to może świadczyć, że jest w tobie emocjonalnie trudny czas, jakiś wewnętrzny bałagan. Ale bywa też odwrotnie. Znam osoby, które mają w szafie poukładane jak w muzeum, a u siebie w środku mają potworny bałagan energetyczny. Co z tego, że ktoś ma pięknie wykrochmaloną pościel w szafie, jeśli rzadko ją zmienia.

Mówi pani, że oczyszczając dom z kurzu, oczyszczamy też siebie ze smutku i trudnych emocji. Co pani zdaniem najtrudniej wyrzucić: przedmiot, wspomnienie, żale?
Żal i emocje – to jest najtrudniejsze do wyrzucenia. Dzisiaj spotkałam się z kobietą, która od dwóch lat jest rozwódką, a wciąż nosi biżuterię od pierwszego męża, bo za nim tęskni. Trzyma tę bransoletkę, a ja mówię: „Słuchaj, on już z tobą nie jest. Mieszka z inną kobietą. A ty jesteś jak zakajdankowana. On cię nie trzyma; to ty sama się trzymasz przy nim". Odebrałam to dosłownie jak łańcuch, jakby sama się przypięła do drzewa. A to drzewo nie jest już jej drzewem, nie jest już jej rodzinnym drzewem. To jest właśnie ten poziom przywiązania. Emocje lubią przywiązywać się do miejsc. Znam dziewczynę, która od wielu lat nie wyprowadza się z mieszkania, bo chłopak, z którym się rozstała, zna ten adres. Ona nie lubi sąsiadów, nie lubi tego budynku, ale boi się, że co będzie, gdy on wróci, i jej nie zastanie. Tylko, że on nigdy nie wróci. Gdyby chciał wrócić, zrobiłby to od razu. A ona tkwiąc w miejscu, którego nie lubi, przeżywa życie, które miała, żyjąc w przeszłości.

Na Wschodzie kobiety w grudniu pisały listy do świętego Mikołaja z prośbą, żeby znalazł im męża. Dziś singielki częściej logują się do aplikacji randkowych. Jak pani opowiada o miłości ludziom, którzy już w tę miłość nie wierzą?
Jeśli ktoś nie wierzy w miłość, to znaczy, że nie wierzy też w siebie. Najpierw trzeba zobaczyć siebie samego, zapalić własną lampeczkę. Żeby oczy się świeciły, żeby było w nich życie. Człowiek, który jest radosny sam ze sobą, uśmiecha się do życia, zwraca uwagę innych, bo od niego emanuje ciepło i blask. Ktoś, kto bywa przygnieciony smutkami, jest sam, bo ludzie, którzy szukają szczęścia, nie zawsze chcą rozwiązywać cudze problemy. Często myślą: „Jeśli wejdę w taką relację, to jeszcze dołożę sobie ciężaru". Nie każdy jest ratownikiem. I dlatego, gdy ktoś nie wierzy w miłość, to mówię: najpierw uwierz w to, że ty nadal funkcjonujesz, że żyjesz. Niektóre osoby są tak pozamykane, jak zwierzątko w schronisku, które siedzi i czeka, aż ktoś je weźmie. Miałam klientkę, która powiedziała mi: „Mój mąż odszedł do kobiety o jedenaście lat starszej, piętnaście kilo cięższej". A ja jej mówię: „Słuchaj, on nie widzi różnicy wieku i nie widzi sylwetki. On widzi jej oczy". I to jest prawda. Bo to była kobieta wesoła, radosna, w dobrym humorze; tworzyła wokół siebie atmosferę, że chciało się przy niej być. Kiedyś usłyszałam mądrą rzecz: jeśli ktoś wybiera drugą osobę wyłącznie po wyglądzie zewnętrznym, może się bardzo pomylić. W przyrodzie też tak jest: jeśli nie patrzysz w głąb, nie zaglądasz w duszę, to nawet najpiękniejszy kwiat może okazać się trujący.

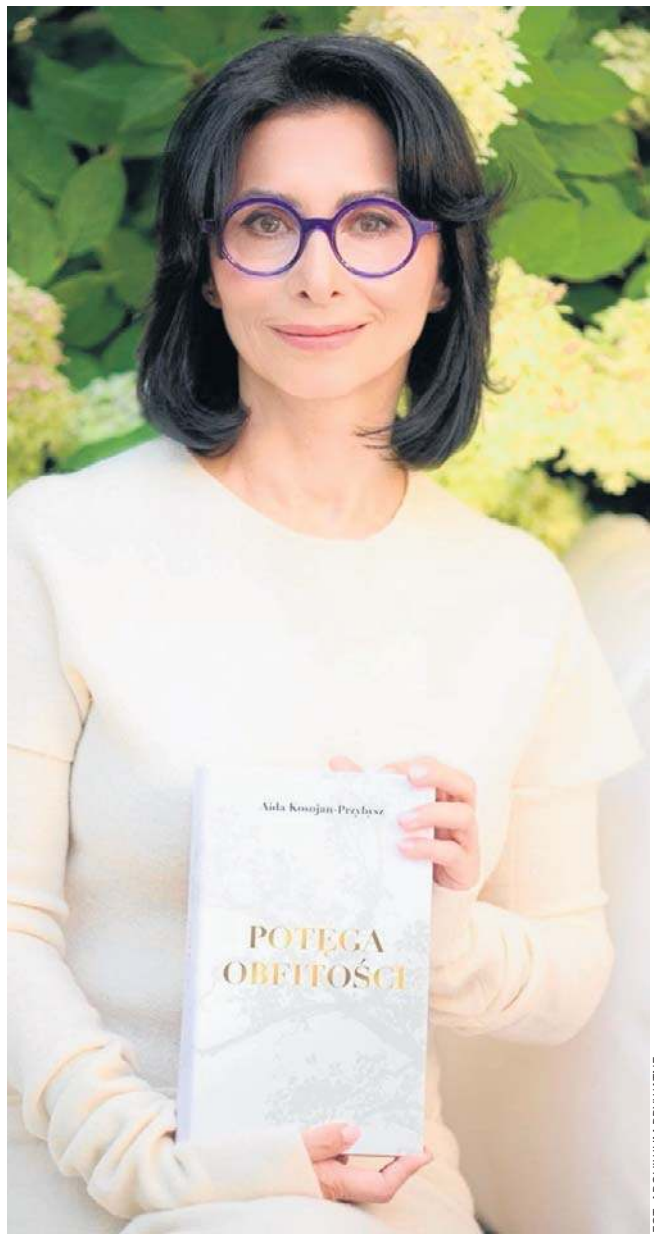

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Aida Kosojan-Przybysz: Jeśli ktoś nie wierzy w miłość, to znaczy, że nie wierzy też w siebie. Najpierw trzeba zobaczyć siebie samego, zapalić własną lampeczkę

W książce pisze też Pani: „Nie chwal się pod koniec roku, nie mów: udało mi się wszystko". Dlaczego?
Chodzi o to, żeby nie zapeszać. Ale jest też druga rzecz: wokół nas są ludzie, którzy mogą mieć bardzo trudny czas. Moja babcia zawsze mówiła: kiedy się bardzo chwalisz, a ktoś obok cierpi, to po pierwsze jest niegrzeczne. Po drugie, nigdy nie wiesz, jak ten człowiek zareaguje. Czy jego ból nie „przeleje się" na ciebie. Nie każdy potrafi przyjąć czyjąś radość, kiedy sam ledwo wiąże koniec z końcem. Czasem ludzie mówią mi: „Jadę na święta i mam kuzyna, który tylko się chwali". A on może po prostu dzielić się radością. Tylko że dla innych to jest trudne, bo ich domowa sytuacja wygląda zupełnie inaczej. I nagle spotkanie zamiast cieszyć, odbiera humor.

To jak mówić o sukcesach, żeby nie prowokować zazdrości, a jednocześnie siebie nie umniejszać?
Mam prostą zasadę: jeśli ktoś się naprawdę interesuje, jeśli pyta to znaczy, że chce w tym moim życiu uczestniczyć. Jeśli ktoś się nie interesuje twoimi sprawami, nie ma sensu się chwalić. Kiedy spotykam kogoś, kogo lubię, i on mówi: „Co u ciebie? Słyszałam, że wydałaś książkę", odpowiadam: „Dziękuję ci bardzo. Bardzo się cieszę". I tyle. Chodzi o to, żeby nie opowiadać za dużo tam, gdzie nikt tego od ciebie nie oczekuje. Jeśli ktoś dzwoni i gratuluje cudownie. Ale jeśli ktoś przychodzi na wieczór autorski, to oczywiście nie będę udawać, że nie wydałam książki. To jest dzień na dzielenie się radością. Trzeba po prostu znaleźć na to miejsce i czas. Dzielmy się, ale świadomie. Jeśli ktoś mówi: „Zwolnili mnie z pracy", to nie jest moment, żeby w tej samej sekundzie wykrzyknąć: „A ja dwa dni temu dostałam awans!". I jeszcze coś: nie róbmy rywalizacji ani w cierpieniu, ani w sukcesach. Jak ktoś mówi, że choruje, to nie odpowiadaj: „A ja jeszcze gorzej choruję". I tak samo z radością: nie przekrzykujmy się zasługami. Są ludzie, którzy będą je umniejszać i to też trzeba brać pod uwagę.

Od 35 lat dzieli się pani swoim darem jasnowidzeniem i wiedzą, pochodzącą z tradycji pani rodu. Jestem ciekawa, co panią w ludzkich historiach najbardziej zadziwia?
Cuda. Kiedy sytuacja jest totalnie bez wyjścia, a dzieje się coś takiego, że widzę, że w grę weszło nie tylko to, że ktoś był rozumny czy konsekwentny, ale że coś tego człowieka poprowadziło, wyprowadziło i doprowadziło do uzdrowienia. Kiedy człowiek jest w bardzo ciężkiej sytuacji, a nagle zdrowie wraca. Jakby odzyskiwał siły. Widzę też komunikację z przodkami. Każdy człowiek, który do mnie przychodzi, bez wyjątku, ma taki moment, że ktoś z jego nieżyjących już bliskich się zjawia. To jest piękny czas komunikacji między światem widzialnym i niewidzialnym. To mnie zawsze wzrusza. I nigdy się nie przeterminowuje, w tym zawsze jest ekscytacja. Dla mnie to coś bardzo wyjątkowego.

Pięknie brzmi tytuł pani książki: „Potęga obfitości". Co jest największym nieporozumieniem, jakie ludzie mają na temat obfitości? Z czym ją mylą?
Uważam, że obfitość to jest równowaga duszy, rozumu i ciała. To nie jest tylko obfitość finansowa, to co mamy w portfelu. Dla mnie obfitość to wewnętrzny stan człowieka: kiedy jest w harmonii z tym, co było, kiedy jest w harmonii ze sobą. Kiedy umie odpuszczać. Kiedy umie też zawalczyć o siebie. Człowiek składa się z duszy, rozumu i ciała. Rozum działa, dusza weryfikuje, ciało czasem bierze górę, szczególnie w momentach choroby. Jeżeli jedna z tych stref wypada, albo jest mocno obciążona, człowiek czuje się nieszczęśliwy. A kiedy człowiek myśli wyłącznie o stanie fizycznym, kiedy pochłania go tylko strach przed chorobą, to przestaje mieć komunikację z rzeczywistością, tylko komunikuje się z lękami. Dla mnie obfitość to przede wszystkim nakaz, by nie zdradzać siebie.

Załóżmy, że tę rozmowę będzie czytał ktoś zmęczony, zmartwiony, kto miał za sobą trudny emocjonalnie, a może i finansowo rok. Jaki jest pani plan minimum na ostatni tydzień grudnia? Chodzi o takie rzeczy, które naprawdę mogą coś w życiu człowieka zmienić.
Na pewno, nawet jeśli zabrzmi to banalnie, dobrze jest przewrócić dom do góry nogami i zrobić duże sprzątanie. Trzeba pozwolić staremu odejść. I nie chodzi tylko o kurz. Nawet jeśli ktoś mówi: „Ja nie muszę sprzątać, mam wszystko czyste" to i tak są w domu przedmioty, które na przykład drażnią. Są zdjęcia, które przypominają o relacji, która się skończyła, a my wciąż nie mamy odwagi schować ich do szuflady. Trzeba je jednak usunąć. Dobrze usunąć wszystko to, co wprowadza nas w trudne emocje, w żal, w poczucie porażki. Te bodźce trzeba sobie po prostu zabrać z drogi. Druga rzecz: stary rok trzeba pożegnać w butach, a nie w kapciach. Dobrze jest odświętnie się ubrać, nawet jeśli tylko na pierwsze pięć minut po północy. Warto się przebrać, zadbać o siebie, bo to jest czas celebracji i wdzięczności. Wchodzimy w kolejną kartkę z kalendarza. I jeszcze: zrobić dobry uczynek. Czasami jest tak, że człowiek przez cały rok nie zdążył zrobić nic dla kogoś, bo tak był zagoniony. A czasami trzeba zrobić dobry uczynek sobie. Jeśli przez cały rok dawałaś wszystkim, to teraz jest moment, żeby dać coś sobie. Cokolwiek; czy to będą rękawiczki, książka, nowy notes. Idź na film. Zrób coś dla przyjemności ciała i ducha; to jest bardzo ważne. Zapominamy o prezentach dla siebie. On nie musi kosztować dużo. Wypij herbatę albo kawę w najlepszym miejscu. Nie musisz zamawiać obiadu, jeśli liczysz pieniądze, ale gorąca czekolada czy kawa w takim miejscu jest w twoim zasięgu finansowym. To potrafi zmienić nastrój i sposób, w jaki wchodzimy w nowy czas.

Co Pani robi każdego 31 grudnia, niezależnie od tego, gdzie i z kim jest? Czego nigdy nie odpuszcza?
Zawsze jestem w domu. 31 grudnia nie chodzę na bale. Raz zaproszono mnie do telewizji, pojechałam i po północy od razu wróciłam do domu. Jeśli praca mnie do tego nie zmusza, witam Nowy Rok w domu. Uwielbiam moment zapalonej choinki, lampek na choince. No i oczywiście: celebrację, wspólny posiłek z rodziną. Przeżywamy tego dnia kilka sylwestrów naraz. Bo kiedy w Polsce jest 21.00, w Gruzji już wybija północ. Wtedy pijemy pierwszego szampana i dzwonimy do naszych bliskich w Gruzji. Potem dzwonimy do cioć, wujków, którzy mieszkają w kolejnych strefach czasowych. Kiedy północ wybija w Polsce, to rodzina dzwoni do nas. I to jest piękne: gdziekolwiek kto jest, oddzwaniamy do siebie. To nasz moment radości.
Najważniejsze dla mnie są te ostatnie minuty przed północą, dwanaście uderzeń zegara, ostatnie sekundy, moment przejścia. Mistyczny moment. Wtedy zawsze dziękuję, że minął rok. I myślę o swoich marzeniach. Mam tak od dzieciństwa: szepczę sobie pod nosem swoje najskrytsze plany.

eprasa.pl 6521773fd7

JUBILERZY LUKSUSOWYCH AUT

Jedyne, z charakterem, zjawiskowe – takie samochody powstają w firm

Jacek Drost

Falcon, czyli Sokół, który powstał w firmie Carlex z Czechowic-Dziedzic, specjalizującej się w projektowaniu i produkcji unikalnych wnętrz do samochodów, jest jedyny na świecie, niepowtarzalny, nie do podrobienia. Gdyby chcieć go także scharakteryzować jednym słowem, należałoby powiedzieć – zjawiskowy. Bo jak nazwać Mercedesa-Benza G 63 AMG z 4-litrowym silnikiem V8 z turbodoładowaniem o mocy 577 KM, którego kabina została przeprojektowana i wykończona patynowaną skórą – miękką, pachnącą i delikatną w dotyku, którego elementy dekoracyjne zostały wykonane ze srebra, a lakier mieni się w oku, gdyż został wzbogacony kilogramem pyłu diamentowego, zaś na jego dachu znajduje się piękna, ręcznie grawerowana płaskorzeźba z wizerunkiem sokoła i podkreślonymi subtelnymi akcentami złota na polerowanym metalu – rzemieślnicy pracowali nad nim ponad trzy lata, codziennie po osiem godzin, detal po detalu.

Falcon to ze smakiem oszlifowany diament, popis rzemieślniczego, a może raczej artystycznego kunsztu, motoryzacyjne (ale nie tylko) dzieło sztuki. Doskonale przemyślane, precyzyjnie zaprojektowane, starannie wykonane.

Falcona kupił pewien bogaty szejk ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, chodzą słuchy, że sam król – miłośnik sokolnictwa, broni i drogich samochodów. Zapłacił za niego 2 mln euro, czyli ponad 10 mln zł...

– Falcon to historia, w której bardzo została doceniona nasza praca. Sprzedaliśmy go zaledwie trzy tygodnie po prezentacji, za cenę, jaką podaliśmy, bez żadnych negocjacji. To było takie fajne docenienie całego naszego wkładu intelektualnego, projektowego, rzemieślniczego w ten projekt. Zobaczyliśmy, że świat jest mały, że jak jest coś naprawdę dobre, to ludzie potrafią to docenić – opowiada Damian Skotnicki, założyciel i dyrektor generalny Carlex Vehicles.

Sokół był wyzwaniem

Pierwsze, co się rzuca w oczy, kiedy przekraczamy próg czechowickiej siedziby Carlexu, to dwa mercedesy klasy G, pięknie i ze smakiem zmodyfikowane, oraz wyprepar owana wielka głowa krokodyla leżąca na czarnym, masywnym stole. Wśród ciemnych mebli i ścian połyskują elementy samochodów – kierownice, kołpaki nadkola, jakieś narzędzia, pamiątki pewnie z podróży do bardziej i mniej egzotycznych krain. Tu nie ma przypadku, wszystko jest na swoim miejscu, pięknie wyeksponowane, klimatycznie oświetlone. Człowiek ma wrażenie, że znajduje się w czymś pomiędzy salonem samochodowym, pracownią jubilerską, sklepem kolonialnym, studiem projektowym a wystawą w galerii.

Kiedy siedzimy w skórzanych stylowych głębokich fotelach przy równie stylowym stole w mniej oficjalnej części Carlexu, Damian Skotnicki spokojnie, z namysłem i precyzją opowiada o filozofii firmy, przeszłości, planach na przyszłość.

Przyznaje, że Falcon był dla Carlexu wyzwaniem. Chcieli stworzyć nowy samochód o kolekcjonerskiej wartości, pokazać zaawansowane rzemiosło najwyższej jakości, coś zupełnie nowego, innego. Nie chcieli iść utartym śladem większości tunerów wypuszczających krótkie serie, ale postanowili zrobić coś zupełnie niepowtarzalnego.

– Chcieliśmy stworzyć na G klasie taki niedościgniony wzór, żeby nie dało się go podrobić, skopiować, bo bardzo dużo jest w tej chwili kopii na rynku automotive. Codziennie się z tym spotykamy, borykamy – mówi Damian Skotnicki.

Ich wysiłek został zauważony i doceniony. Cena, za jaką sprzedali Falcona, była prawdopodobnie najwyższa w historii G klasy. O Carlexie już wcześniej rozpisywały się światowe media motoryzacyjne, ale po Falconie zrobiło się głośno na arabskich forach internetowych.

– Otrzymaliśmy bardzo pochlebne recenzje i poszliśmy za ciosem. Zawęziliśmy całkowicie nasze portfolio. Postanowiliśmy tworzyć najbardziej kolekcjonerskie G klasy na świecie, One of One, unikalne, krótkie serie dla różnych lifestylowych dziedzin życia, bo jedni kochają sokolnictwo, inni jachting, ktoś konie, ktoś wikingów i mitologię nordycką, więc tematów do tego, żeby opowiadać różne ciekawe historie na bazie samochodów G klasy, jest mnóstwo – mówi Damian Skotnicki.

Do realizacji swoich wizji wybrał mercedesa G klasy, gdyż ma on charakterystyczny, klasyczny wygląd, jego bryła na przestrzeni ostatnich 50 lat praktycznie się nie zmieniła, została tylko delikatnie unowocześniona, więc doskonale nadaje się do tworzenia ponadczasowego designu.

– Tak naprawdę pierwotną bryłę G klasy jeszcze uwstecznilismy do lat 50. Według mnie, w motoryzacji, jeśli chodzi o design, to był najpiękniejszy okres. Czasy, które się nie powtórzą. Wtedy producenci aut koncentrowali się głównie na wyglądzie. Kwestie bezpieczeństwa i różne inne ważne rzeczy grające obecnie pierwsze skrzypce, jak emisja spalin, były mniej ważne. Teraz o tym, jak wyglądają auta, decydują księgowi. Wtedy tak nie było i te auta były naprawdę piękne – dzieli się swoimi przemyśleniami Damian Skotnicki.

Podkreśla, że na tym, iż bryła G klasy nie zmienia się od lat, Carlex skorzystał. Zaprojektowali nowe wnętrze, kolory, felgi, nadkola, zderzaki. W efekcie zbudowali samochód, który wygląda jak klasyk, auto zabytkowe, ale pod tym wyglądem kryje się w pełni nowoczesne bezpieczne auto do codziennego użytku, z ponadczasowym designem – można nim jeździć przez dziesięciolecia, a ono cały czas będzie wyglądało aktualnie i dobrze.

One of One

– Pomyślałem, że nikt tak nie robił, nikt nie działał w ten sposób i jest to niezła droga, żeby Carlex stał się bardziej rozpoznawalny na świecie ze względu na ten jeden model samochodu – mercedesa G klasy – opowiada właściciel Carlexu.

Po sprzedaży Falcona w firmie trwała dyskusja, jaką Carlex powinien obrać drogę, w którym kierunku pójść. Ostatecznie zdecydowali się na śmiałe rozwiązanie, niewiele firm by się na coś takiego odważyło. Ze swojego portfolio usunęli wszystkie dotychczasowe realizacje, zostawiając tylko mercedesy G klasy.

– Postanowiliśmy tworzyć samochody eleganckie, nie konkurować ze wszystkimi tunerami robiącymi auta coraz bardziej muskularne i jaskrawe, tylko pójść zupełnie inną, swoją drogą. Zająć się tylko projektami One of One. Takich samochodów nie da się zrobić dużo, co najwyżej jeden rocznie.

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Dwa najnowsze mercedesy klasy G, które ostatnio przeszły metamorfozę w Carlexie. Na pierwszym planie piękna Himalaya

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

W Carlexie wnętrza samochodów nabierają niepowtarzalnego charakteru

Uznaliśmy także, że efekt niedostępności będzie czymś, co będzie naturalnie wzmacniało zapotrzebowanie na takie auta kolekcjonerskie. To się właśnie dzieje w Carlexie od półtora roku. Kupujemy G klasy, budujemy samochody, doposażamy je w nasze pakiety i sprzedajemy. Carlex stał się takim domem rzemiosła motoryzacyjnego. Wokół tego chcemy budować aurę tej firmy – opowiada Dawid Skotnicki.

Skromne początki

Wszystko zaczęło się gdzieś w drugiej połowie minionej dekady, kiedy to Damian Skotnicki, miłośnik motoryzacji, student grafiki na wydziale Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, jednocześnie zajmował się sprzedażą drogiej armatury. Na co dzień miał do czynienia z zamożnymi klientami, widział, jakie mają domy, jak wypoczywają, jakimi jeżdżą samochodami, więc już wtedy zaczął myśleć o swoim biznesie. Po-

eprasa.pl 6521773fd7

T, CZYLI SOKÓŁ LECI DO SZEJKA

ie Carlex Vehicle z Czechowic-Dziedzic Roksany i Damiana Skotnickich

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Damian Skotnicki – założyciel i dyrektor generalny Carlex Vehicles

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Carlex to firma o światowej renomie

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

W samochodach Carlexu każdy detal jest przemyślany, starannie wykonany

mysł miał nietuzinkowy i wcale niegwarantujący sukcesu - ulepszanie samochodów, którymi jeżdżą zamożni ludzie. Idea wzięła się stąd, że - jak tłumaczył Damian Skotnicki w jednym z wywiadów - rynek jest nasycony różnymi porównywalnymi produktami, tymczasem żyjemy w czasach indywidualizmu, produkty unikalne, indywidualnie zaprojektowane i wykonane z doskonałej jakości materiałów coraz bardziej przyciągają klientów, którzy chcą się poczuć wyjątkowo. Damian Skotnicki dyplomu cieszyńskiej uczelni nie zdobył, ale w 2008 r. założył wraz z żoną Roksaną firmę Carlex Design.

- Nasi rodzice prowadzili własne firmy, które budowali od zera. Na co dzień obserwowaliśmy ich zmagania i w pewnym sensie ten model życia wrósł w naszą świadomość, stając się oczywistym. Zaczynając wspólne, dorosłe życie, wiedzieliśmy, że chcemy prowadzić własny biznes i że chcemy, aby praca była dla nas nie tylko źródłem dochodu, ale również łączyła nasze zainteresowania: dobry design i motoryzację - opowiada Damian Skotnicki.

Motywacją dla właścicieli Carlex Design była także baczna obserwacja rynku motoryzacyjnego. Producenci samochodów przykładają więcej wagi do zewnętrznego designu samochodów, osiągów czy bezpieczeństwa niż do estetyki wnętrz. Dostrzegli w tym interesującą niszę, w której zdecydowali się rozwinąć.

Pierwsze zlecenie dotyczyło forda sierry, w którym odpadała podsufitka. Usterka została szybko naprawiona, przy okazji zapuszczony samochód został poddany lekkiej metamorfozie, a jego zadowolona właścicielka poleciła firmę czterem następnym klientom.

Na podbój świata

- Zorientowałem się, iż są ludzie, którzy mają głębsze potrzeby niż tylko zakup samochodu. Chcieliby mieć indywidualne wnętrze w aucie. Postanowiliśmy więc założyć szwalnię, która będzie szyła wnętrza do samochodów ze skóry. To był 2007 rok, w tym roku obchodzimy więc 18. Po jakichś dwóch latach doszliśmy do wniosku, że obszywać tapicerki ze skóry to każdy może - lepiej lub gorzej, zakładów tapicerskich w Polsce są tysiące, przestało nas to bawić, więc poszliśmy bardziej w projektowanie i szukanie ciekawszych rozwiązań - mówi Damian Skotnicki.

Pierwszym luksusowym autem, które przeszło metamorfozę, był mercedes klasy S.

- To miał być prezent dla pewnej głowy państwa. Musieliśmy m.in. pozłocić wszystkie metalowe elementy we wnętrzu auta i na suficie wyhaftować 99 imion Allaha - opowiadała dziennikarzowi Roksana Skotnicka.

Na rozwój firmy wpływ miała realizacja samochodu mini countryman w stylu steampunk. Kiedy opublikowali zdjęcia i film z procesu powstawania pojazdu, czołowe media motoryzacyjne zaczęły pisać o Carlex Design.

- Projekt zrobił ogromne wrażenie na całym świecie. Zaczęło nam wtedy przybywać klientów i ofert współpracy biznesowej - opowiadali Skotniccy.

Zaczęli przerabiać wnętrza do takich luksusowych aut jak: porsche, aston martin, bmw, mercedes, rolls-royce, lamborghini, ford czy mini. To także oni nadali szczególnego charakteru fiatowi 126p, którego parę lat temu bielszczanie sprezentowali znanemu aktorowi Tomowi Hanksowi. W ostatnim czasie postanowili skupić się tylko na mercedesach klasy G.

- Nie znam takich, którzy są najlepsi we wszystkim, więc my postanowiliśmy być najlepsi w G klasach; taką niedoścignioną firmą, jeśli chodzi o ten model samochodu, która będzie wyznaczała nowe granice, ale to musimy mieć na to czas, spokój, robić to bez pośpiechu - opowiada właściciel Carlexu.

eprasa.pl 6521773fd7

ERMANNO FURLANIS: ROBIŁEM PIZZĘ DLA KIM DZONG ILA. ALE DLA PUTINA BYM NIE ZROBIŁ

- Żeby zrobić dobrą pizzę, trzeba się uczyć co najmniej 10 lat. Mało kto potrafi ją zrobić bardzo dobrze, a jednocześnie bardzo szybko. A to jest cały sekret - mówi Ermanno Furlanis, jedna z postaci opisanych w wydanej niedawno książce „Kucharze dyktatorów". Włoski pizzaiolo przez wiele lat nie chciał wypowiadać się o okresie spędzonym w latach 90. w Korei Płn.

Wojciech Szczęsny

Dlaczego już się Pan nie boi?
Zamiast się bać, nauczyłem się być ostrożnym. Żyjemy przecież w niebezpiecznych czasach. Nie chciałbym się nad tym teraz rozwodzić, ale podkreślam, przez kilka dni pobytu akurat w Warszawie czułem się bezpiecznie. Ale to temat na inną rozmowę.

Porozmawiamy więc o kuchni. Włoscy kucharze zawsze podkreślają wagę lokalnych produktów. Gdy podają przepisy, także na platformach społecznościowych, nie słyszymy np. po prostu o pomidorach i czosnku, tylko o tym, że jak pomidory, to tylko San Marzano, jak czosnek...
...to tylko z Val di Chiana. Wiadomo, bo jest najlepszy.

No dobrze, pochodzi Pan z regionu Friuli-Wenecja Julijska. Został Pan zatrudniony przez reżim północnokoreański do robienia pizzy, a w Pana rodzinnych stronach się jej przecież nie robi. Słyniecie z polenty i joty.
Jotę robi się w Trieście. To pierwsze zastrzeżenie. Administracyjnie to ten sam region, ale Włochy pod względem kulinarnym są bardziej zróżnicowane, niż może się wydawać. To jest naprawdę bardzo skomplikowane, nawet dla nas. Wszystko przez to, że nasz kraj przegrał II wojnę światową, więc stracił na północy część terytorium. Został nam kawałek z ziemiami, które teraz należą głównie do Słowenii, a wcześniej do Jugosławii. To malutka część Włoch z centrum w Trieście, które są tak niewielkie, że połączono je z Friuli, którego głównym miastem jest z kolei Udine. We Friuli mamy inne tradycje, inny język. Proszę mi wierzyć, że po friulijsku mówi się inaczej niż po wenecku, ale i po włosku. Zresztą w samym Udine i Trieście też mówi się inaczej niż w miasteczkach wokół nich. Wie pan, jak mówi się w Trieście „inverno" [zima - red.]?

Słucham.
Zima, wymawiane z-i-m-a. Jak u was. Nie mówi się tam też po włosku „fa freddo" [jest zimno - red.] tylko z-i-m-n-o. Takich słów jest więcej.

Potraw pewnie też.
Jota, o której pan wspomniał, to zupa, która pochodzi z Bałkanów. To jednogarnkowe danie z fasolą, boczkiem, kiszoną kapustą i ziemniakami. Ale pamiętajmy, że Bałkany były kiedyś zarządzane przez Austro-Węgry.

Czyli kuchnia wielonarodowa.
W pełnym tego słowa znaczeniu. Większość potraw z Friuli w ogóle nie jest znana w reszcie Włoch. Zresztą w całym kraju co kilkadziesiąt kilometrów kompletnie zmieniają się zwyczaje kulinarne, to są zupełnie inne światy i w ogóle tu nie przesadzam. Nie istnieje coś takiego jak włoska kuchnia standardowa dla całego kraju.

A pasta?
Ale jaka pasta? Niech pan coś wymieni.

Poza tzw. klasykami, które są w każdej włoskiej restauracji w Polsce? Pasta alla nerano.
No widzi pan, słyszałem o niej, ale nigdy jej nie jadłem. Zjedzenie wszystkich odmian ze wszystkich regionów jest niemożliwe. Co więcej, im lepiej zna się kuchnię włoską, tym bardziej staje się ona skomplikowana. Muszę przyznać, że nigdy nie podałbym się za eksperta od kuchni z mojego własnego regionu.

Proszę nie przesadzać.
Mówię zupełnie serio.

FOT. CSAKISTI/ GETTY IMAGES

Ermanno Furlanis: Włochy pod względem kulinarnym są bardziej zróżnicowane, niż może się wydawać. To jest naprawdę bardzo skomplikowane, nawet dla nas

Znowu promocja? Dokończmy więc ten wątek - zwyczaj „tajut", czyli stawiania kieliszka wina napotkanemu znajomemu, jeszcze istnieje we Friuli?
Jak najbardziej. Chodzi o to, żeby nalać towarzyszowi trochę wina, a potem się zrewanżować. W międzyczasie dołącza kolejny i zaczyna się od nowa. To część naszej kultury. Choć nieco niebezpiecznej, bo „tajut" zaczyna się o 10 rano. Kawę pije się o 8 rano, potem już można zaczynać „tajut". Nie ukrywam, że także stąd wziął się problem nadużywania alkoholu we Friuli. Wiele osób przez lata uważało, także mój ojciec, że lepiej jest odrzucić nowe obyczaje państwa włoskiego niż lokalną kulturę i tożsamość. Niestety to picie wina dla niektórych skończyło się źle, ale problem już został rozwiązany. Młodzi piją trochę mniej, choć aperitivo dalej jest obowiązkowe, z tym że w weekend lub po pracy. Tu dodam, że we Friuli króluje spritz.

IM LEPIEJ ZNA SIĘ KUCHNIĘ WŁOSKĄ, TYM BARDZIEJ STAJE SIĘ ONA SKOMPLIKOWANA. NIGDY NIE PODAŁBYM SIĘ ZA EKSPERTA OD KUCHNI Z MOJEGO REGIONU

W Polsce szprycer jest znany, ale nie jest bardzo popularny.
A wziął się właśnie z Friuli. W czasach monarchii austro-węgierskiej w północnych Włoszech było sporo żołnierzy. W gospodach dostawali lokalne produkty - chleb, ser i wino. Problem polegał na tym, że byli przyzwyczajeni do piwa. Wino w naszym regionie jest bardzo dobre, więc nie chodziło o smak, tylko o pojemność trunku. Kieliszek wina im nie wystarczał, a nie chcieli zamiast kufla piwa zamawiać kufla wina. I wtedy wpadli na pomysł, żeby zamawiać wino, w dosłownym tłumaczeniu, spryskane (niem. spritzen, wł. spruzzare) wodą. Czyli po prostu zmieszane z wodą. Płacili mniej, a picia mieli więcej. Tak to się zaczęło. Co zresztą jest zabawne, bo potem zwyczaj picia spritza, także aperola spritza, rozszerzył się na całe Włochy i zaczął być drogi. A na samym początku założeniem było to, żeby było taniej.

Podobnie jak z pizzą.
To prawda. Na północy Włoch pojawiła się dopiero w latach 70. Wtedy wszystko się zaczęło. Jeśli ktoś myśli, że Włosi od wieków zajadali się pizzą, to jest w grubym błędzie.

Niech Pan pamięta o promocji.
Ale tu się nie ma czego wstydzić! Jeszcze w czasach mojej młodości w miastach liczących kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców pizzę można było dostać w maksymalnie dwóch-trzech lokalach. Teraz w każdym mieście jest ponad sto pizzerii. Ale pewne zwyczaje się nie zmieniły. Na południu Włoch pizzę je się codziennie, nawet na śniadanie. Zresztą składa się ją do środka jak kanapkę. U nas tego nie ma.

eprasa.pl 6521773fd7

No to jakim cudem został Pan pizzaiolo?
Przypadkiem. Mój wuj zobaczył, że coraz więcej osób chce jeść pizzę, więc otworzył pizzerię. W tamtych czasach, żeby móc prowadzić taki biznes, trzeba było sprowadzić kucharza z Neapolu lub z okolic. Może trochę przesadzam, ale powyżej rzeki Pad płynącej w poprzek Półwyspu Apenińskiego nie było innej opcji, nikt nie umiał robić pizzy, tak się przynajmniej uważało. Jeśli nie byłeś z Neapolu, nie miałeś prawa jej robić. Brzmi absurdalnie, ale przysięgam, że tak było. No i wuj zatrudnił takiego typa. Migracja osób z południa Włoch na północ miała zresztą wielki wymiar w historii kraju.

W Polsce po II wojnie światowej też wiele osób zmieniło miejsce zamieszkania.
Ale u nas to się działo później. Nie było już wojny. To migracja nie tylko z wiosek do miast, ale generalnie z południa na północ. To był jeden kierunek. I myśmy naprawdę traktowali tych z południa jako ludzi bez etyki pracy. No i to się często potwierdzało. Wtedy to była zwykła niechęć, choć dziś nazwalibyśmy to rasizmem. Ani mój ojciec, ani mój wuj nie chcieli, żeby ktoś z Sycylii czy Kampanii przyjeżdżał do nas. Ale bez nich nie byłoby pizzy. Sęk w tym, że Włosi z południa naprawdę mają inne poczucie czasu. Ja mogę się spóźnić gdzieś kilkanaście minut. Ale nigdy nie będzie tak, że przyjdę dwie godziny później i będę uważał, że nic się nie stało. To jest ta różnica.

Czyli został Pan pizzaiolo z powodu różnic kulturowych?
Dokładnie tak. Żeby rozpalić drewniany piec na pizzę i przygotować składniki, trzeba co najmniej godziny. Pewnego dnia Neapolitańczyk zatrudniony przez mojego wuja przyjechał tak późno, że przy stołach już czekali ludzie. Miarka się przebrała, wybuchła awantura. Nasz pizzaiolo wyszedł, trzaskając drzwiami i mówiąc, żeby „polentoni" - to pogardliwe określenie osób z północy Włoch pochodzące od polenty, o której rozmawialiśmy wcześniej - sami sobie robili pizzę. No i ja z moim kuzynem stwierdziliśmy, że spróbujemy. Mieliśmy po kilkanaście lat, lubiliśmy tego gościa z Neapolu i często siedzieliśmy z nim w kuchni i patrzyliśmy, co robi, więc uznaliśmy, że damy radę.

Daliście?
Oczywiście, że nie. Coś tam zrobiliśmy, ale połowa gości wyszła, a ci, którzy zostali, nie byli zadowoleni. Wtedy zrozumieliśmy, że to nie jest takie proste, ale warto się podszkolić, bo można sporo zarobić. Dzisiaj pizzaiolo dalej zarabia więcej niż kelner, ale wtedy to było nawet kilka razy więcej. A roboty było co niemiara. Ja sam kiedyś musiałem zrobić jednego dnia 180 pizz. To mój rekord. Jeśli ktoś mówi, że może zrobić ponad 200, to opowiada bzdury. To niewykonalne.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ermanno Furlanis: W tym fachu cały numer polega na tym, żeby zrobić danie bardzo szybko i bardzo dobrze

Kiedy uznał Pan, że umie robić pizzę?
Po 10 latach.

Potrzeba dekady, że zrobić dobrą pizzę?
Trzeba więcej, ale po 10 latach nadaje się do jedzenia. W tym fachu cały numer polega na tym, żeby zrobić danie bardzo szybko i bardzo dobrze. Coraz więcej osób robi rzeczywiście bardzo szybko, ale niedobrze. Z kolei inni robią świetną pizzę, ale zajmuje im to za dużo czasu. Mistrzostwo polega na tym, żeby połączyć ilość z jakością. Brzmi trywialnie, ale tak jest. We włoskich pizzeriach pracuje obecnie wielu Albańczyków i przybyszów z północnej Afryki. Są bardzo szybcy, ale nie znają języka i przede wszystkim sztuki gotowania. Nie możesz robić pizzy, jeśli nie znasz teorii kuchni w całości. A to dotyczy m.in. temperatury w piecu. Z kolei ta cała wiedza pozwala resztę rzeczy robić „na oko". To paradoks, ale tak to działa.

WE WŁOSZECH WCHODZI SIĘ DO TAKIEGO LOKALNEGO BARU, ROZMAWIA Z BARISTĄ, WŁAŚCICIELEM, Z GOŚĆMI. W NORWEGII W OGÓLE TEGO NIE MA

No dobrze, a jak dowiedzieli się o Panu Koreańczycy?
Przedziwna historia. Miałem wtedy dwadzieścia kilka lat i robiłem różne rzeczy. Pracowałem w Austrii, w Klagenfurcie. Poszedłem na targi pracy i tam było stoisko z napisem „Szkoła pizzy". Podszedłem, żeby zapytać, o co chodzi. Okazało się, że można zapisać się na kurs u osoby, która nie tylko potrafi zrobić pizzę, ale też o niej opowiedzieć. Byłem młody, byłem Włochem, więc jak usłyszałem, że ktoś miałby mnie uczyć, jak się robi pizzę, to się roześmiałem. Ale chciałem zobaczyć, o co chodzi, więc się zapisałem. To wszystko zmieniło. Zacząłem ważyć składniki, opanowywać temperaturę pieca. Byłem praktykiem, a poznałem teorię. Miałem wrażenie, że w ciemności ujrzałem światło. No i zostałem pizzaiolo. Zdobyłem pewną popularność, bo napisała o mnie jedna gazeta. Stąd Koreańczycy musieli się o mnie dowiedzieć.

Ile Pan tam był?
Szczerze? 18 dni. Ale to były najbardziej intensywne dni z moim życiu. Każdy dzień był niespodzianką. Zrozumiałem też, że w Europie mamy za dużo uprzedzeń dotyczących Korei Północnej. Z góry przyjmujemy, że skoro mają inny system polityczny, to się mylą. Oni mają swoje problemy, a my swoje. Tak na to patrzę.

Jeżeli tak Pan ocenia ten reżim, to może jednak dalej się Pan boi?
Nie, przecież nie przeczę, że jest tam problem z poszanowaniem praw człowieka. Nie ma też wolności słowa. To bardzo złe. Ale o Kim Dzong Ilu mogę powiedzieć, że był człowiekiem o dużych horyzontach. Lubił dobrą kuchnię, cenił wysoką kulturę. Doceniał piękno, tak bym to określił. I dlatego zapraszał kucharzy z całego świata, żeby dla niego gotowali oraz uczyli jego kucharzy, jak gotować.

Podczas gdy zwykli Koreańczycy mierzyli się z biedą i klęską głodu. Nie chce Pan o tym mówić?
Nie to, że nie chcę, ja nie mogę. Zawieziono mnie z lotniska do miejsca, gdzie miałem zamieszkać. Była to nowoczesna lokalizacja. W dobrze wyposażonym mieszkaniu miałem telewizor ze wszystkimi kanałami. No i wtedy w CNN zobaczyłem, że w Korei Północnej dzieje się coś złego. Ale ja tego nie widziałem. Choć muszę przyznać, że widziałem wielu ludzi śpiących na ulicach. Ale nie bezdomnych. Tak jakby normalnie wracali z pracy i kładli się spać na ulicy.

Czyli wiedział Pan, co się działo.
Widziałem, ale nie wiedziałem. Oficjalnie zapewniali mnie, że wszystko funkcjonuje normalnie. Sam ich pytałem, o co chodzi. Mówili, że problemy z żywnością mogą się zdarzyć w każdym kraju. I uznawali krytykę międzynarodową za mocno przesadzoną. Tłumaczyli to wszystko dużo niższymi zbiorami wywołanymi przez złe warunki pogodowe. Takie rzeczy mogą zdarzyć się wszędzie. Z tą różnicą, że ich politycy nie chcieli pomocy z zewnątrz.

Jest ktoś, dla kogo nie zrobiłby Pan pizzy?
Dla Władimira Putina. Nie rozumiem, jak dwa bratnie narody mogły doprowadzić się do kilkuletniej wojny. Byłem na Ukrainie cztery razy i wydawało mi się, że to kraj zaprzyjaźniony z Rosją.

Wojna świadczy o czymś odwrotnym.
Rozumiem. Pochodzę z innej części Europy i po prostu mnie to dziwi. Wierzmy, że ta wojna skończy się jak najszybciej. Jedyne, co mogę zaproponować to pizzę - do rozmów negocjacyjnych. Według mnie najbardziej uniwersalna jest pizza z salami, czyli tzw. pepperoni. Lubią ją ludzie zarówno w USA, jak i Korei Północnej. Rosjanom i Ukraińcom też by smakowała.

Teraz mieszka Pan w Norwegii.
Tak, ale z zupełnie innych powodów. Po pandemii COVID-19 we Włoszech wszystko się zmieniło. Mówię o rynku gastronomicznym. Wcześniej uczyłem tego, jak robić pizzę. Po 2021/2022 roku zaczęło brakować mi pieniędzy. Jeden z moich uczniów zaproponował mi wyjazd do Norwegii i założenie lokalu. Biznes nie wypalił, ale okazało się, że lepiej jest zostać. Norwegowie chronią pracowników i przedsiębiorców zupełnie inaczej niż we Włoszech. Po kilku miesiącach podpisałem nową umowę, mam pracę i opłacone mieszkanie. Zarabiam dobrze, dwa razy więcej niż mógłbym we Włoszech.

Czyli niczego Panu nie brakuje.
Brakuje mi barów, czyli kafejek. We Włoszech wchodzi się do takiego lokalnego baru, rozmawia z baristą, właścicielem, z gośćmi. W Norwegii w ogóle tego nie ma. Ludzie ze sobą nie bardzo rozmawiają. Bardzo mi brakuje takich niezobowiązujących pogawędek.

eprasa.pl 6521773fd7

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński

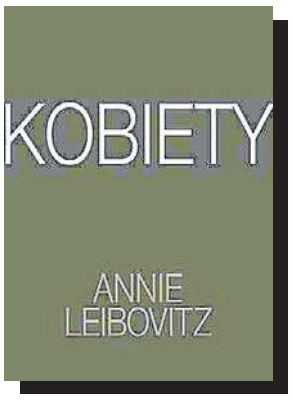

Łowczyni ikon. Kobiety oczami Annie Leibovitz

O istnieniu Annie Leibovitz dowiedziałem się mniej więcej pod koniec studiów. Akurat w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej organizowano jej wystawę. Musiały być spore fundusze na jej promocję, bo nagle o tej fotograficzce mówiło się wszędzie. Poszedłem więc sprawdzić, dlaczego właściwie wywołuje takie poruszenie. Pomysł na wystawę był prosty: portrety znanych osób. Wiadomo – słynne nazwiska rozpalają wyobraźnię, więc przykuwać uwagę widzów musiały. Ja byłem tego najlepszym przykładem.

Na tej wystawie tych sław było dużo, z legendarnym zdjęciem Demi Moore w ciąży na czele. Ale na mnie ogromne wrażenie zrobiło zdjęcie inne: Pelego. Nie wiem nawet, czy można je nazwać portretem, w końcu jego twarzy na nim nie było. Leibovitz bowiem sfotografowała jego stopy. Kadr i tło jak do portretu – ale na pierwszym planie zamiast twarzy mocno poniszczone kończyny legendarnego futbolisty. Patrząc na nie doceniłem artystkę w pełni. Bo zdjęć piłkarzy widziałem wcześniej tysiące, ale żadna z tych fotografii nie pokazała prawdy o futbolu tak dobitnie jak właśnie to zbliżenie. Poruszające, mnie bardzo osobiście. Sam ciągle piłkę kopię – i gdy po meczu patrzę na swoje poobijany stopy, ciągle tamto ujęcie sobie przypominam.

Wystawa, o której wspomniałem przed chwilą, miała miejsce w 1998 r. Druga duża wystawa Leibovitz w Warszawie została zorganizowana w 2011 r. Na ogrodzeniu Ogrodu Botanicznego w Warszawie zawisły jej zdjęcia z serii „Kobiety". 33 portrety przedstawiały kobiety, które fotograficzka uznała za ikony. Pojawiły się tam m.in. Hilary Clinton, Gwyneth Paltrow, Nicole Kidman, Scarlett Johansson, dziennikarka telewizyjna Christiane Amanpour, rzeźbiarka Louise Bourgeois, sędzi Sądu Najwyższego: Ruth Bader Ginsburg i Sandrę Day O'Connor, piosenkarka Patti Smith. Obok nich kobieta - ofiara przemocy fizycznej, a także matka Leibovitz. Pełen przekrój.

Teraz otrzymuje jakby naturalną kontynuację tamtej wystawy - album, w którym znajdują się zebrane w jednym miejscu fotografię wtedy prezentowane. Całość wydana jest starannie w dwóch tomach. Zdjęć jest dużo więcej - aż 250. W obu albumach towarzyszą im teksty: eseje autorstwa Chimamandy Ngozi Adichie, Susan Sontag i Glorii Steinem. Całość na eleganckim papierze. Słowem: wydawnictwo z dużym rozmachem. Jak cała kariera Leibovitz zresztą.

Annie Leibovitz „Kobiety", wyb. Rebis, Poznań 2025, cena 369 zł

Sztuka życia ze sztuką na co dzień

„366 inspiracji od artystek i artystów, by żyć kreatywnie każdego dnia" - głosi podtytuł tej książki. Każda z tych opowieści pokazuje, co znaczy żyć ze sztuką na co dzień.
Katy Hessel „Sztuka twórczego życia", wyd. Marginesy, Warszawa 2025, cena 79,90 zł

Jak skomponować własną codzienność

Klęska urodzaju - dziś doświadczamy tego w każdym wymiarze. Ta książka pokazuje, w jaki sposób sobie z tym radzić. Zestaw porad pomagających właściwie komponować codzienność.
Emily Rand-Przykaza „Wystarczalizm", wyd. WAM, Kraków 2025, cena 45,90 zł

Gdy Chińczyków jest dużo więcej niż Chinek

Polityka jednego dziecka w Chinach sprawiła, że dziś na 100 kobiet przypada niemal 105 mężczyzn. Jak to zmienia kraj? Opis sytuacji.
Nadia Urban, Weronika Truszczyńska, Piotr Sochoń „Chiny jednego dziecka", wyd. Znak, Kraków 2025, cena 69,99 zł

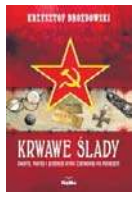

Jak Armia Czerwona mordowała Polaków

Historia zbrodni Armii Czerwonej na Polakach. Nie tylko z czasów II wojny, ale także wcześniejszych konfliktów, m.in. z 1920 roku.
Krzysztof Drozdowski ,Krwawe ślady. Gwałty, mordy i grabieże Armii Czerwonej na Polakach", wyd. Replika, Poznań 2025, cena 54,90 zł

Dlaczego Prada stała się synonimem luksusu

Historia rodu, który stworzył jedną z najsłynniejszych marek w branży dóbr luksusowych. Jest to opowieść przede wszystkim o Miucci Pradzie, której kreatywność uczyniła z tej marki potęgę.
Tommaso Ebhardt „Prada. Historia rodziny", wyd. Znak, Kraków 2025, cena 79,99 zł

Prawda o królu Bolesławie Śmiałym

Druga część epickiej opowieści o życiu Bolesława Śmiałego. Król - w swojej epoce uważany za najwybitniejszego z Piastów - dziś jest postrzegany jako jeden z wielu. Czy słusznie?
Elżbieta Cherezińska „Szczodry", wyd. Zyska i s-ka, Poznań 2025, cena 54,90 zł

Gdy Ziemkiewicz jeszcze pisał sci-fi

Wznowienie powieści science-fiction sprzed 30 lat napisanej przez znanego komentatora politycznego. Ziemkiewicz kreśli wizję przyszłości, ale też wraca do 1914 r. Wszystko w rytmie walca.
Rafał A. Ziemkiewicz „Walc stulecia", wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2025, cena 54,90 zł

Z życia Imperium Meekhańskiego

Pierwszy tom cyklu fantasy o zmaganiach w Imperium Meekhańskim. Wegner buduje uniwersum, gdzie roi się od barwnych postaci.
Robert M. Wegner „Opowieści z meekhańskiego pogranicza. Północ - Południe", wyd. Powergraph, Warszawa 2025, cena 69 zł

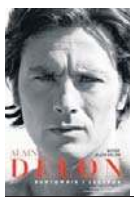

Życie Alaina Delona na zdjęciach

Album poświęcony Alainowi Delonowi, ikonie francuskiego i światowego kina XX wieku. Piękne zdjęcia opowiadają historię jego życia. Wstęp napisał sam bohater.
Denitza Bantcheva Liliana Rosca „Alain Delon Buntownik i legenda", wyd. Familium, Opole 2025, cena 169,90 zł

Trzy kobiety, trzy historie

Czytadło pozwalające zabić rutynę międzyświątecznej podróży pociągiem. Historia trzech kobiet, które właśnie dokonują ważnych przełomów we własnym życiu.
Edyta Świętek „Sandomierskie wzgórza. Kobiety niezłomnego ducha", wyd. Mando, Kraków 2025, cena 45,90 zł

Zwykłe życie, niezwykły przypadek

Francois to nudziarz, którego życie zamyka się w trójkącie: pralnia-pub-punkt loteryjny. Jednak w życiu nudziarzy też zdarzają się chwile niezwykłe - a rzeczywistość okazuje się inna niż pierwsze wrażenie.
Joris Mertens „Pralnia", wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 99,99 zł

Siostrzane tajemnice

Thriller psychologiczny eksplorujący głębokie warstwy wrażliwości i zaufania wewnątrz rodziny. Jedna siostra znika - by wrócić po 16 latach. Druga w tym czasie rysuje inny obraz rzeczywistości.
Smith Dandy „Nie ta córka", wyd. IV Strona, Poznań 2025, cena 54,90 zł

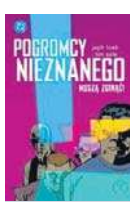

Superautorzy komiksowej zabawy

Ten zeszyt to dzieło komiksowego superduetu. Rysownik Tim Sale (Batman, Superman) i scenarzysta Jeph Loeb (twórca serialu „Smallville") jednoczą siły w tej zabawie komiksowej o Pogromcach.
Tim Sale, Jeph Loeb „Pogromcy Nieznanego muszą zginąć!", wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 129,99 zł

Krótka historia obsługi Paryża

Glogaza dwa lata temu przeprowadziła się do Paryża - i teraz dzieli się swoimi obserwacjami. Proponuje osiem spacerów po tym mieście, które pozwoli je poznać od innej strony - bez sztampy znanej z zwykłych przewodników.
Joanna Glogaza „Poczuj Paryż", wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 74,99 zł

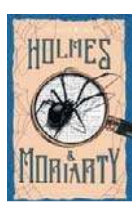

Sherlock Holmes i Moriarty łączą siły

Współczesna wariacja na temat legendarnej serii Arthura Conan Doyle'a. Tym różni się od oryginału, że tutaj Sherlock Holmes zawiera sojusz ze swoim arcywrogiem Moriartym. Jednak cel ich współpracy istotny.
Gareth Rubin „Holmes i Moriarty", wyd. Albatros, Warszawa 2025, cena 49,90 zł

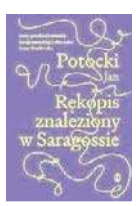

Mocno poplątane dzieje „Rękopisu"

„Rękopis znaleziony w Saragossie" oryginalnie został napisany po francusku. Powstało kilka jego wersji. Teraz otrzymujemy polskie wznowienie tego kultowego dzieła w wersji finalnej z 1810 r.
Jan Potocki „Rękopis znaleziony w Saragossie", Wydawnictwo Literackie 2025, cena 99,90 zł

eprasa.pl 6521773fd7

CO NOWEGO W PRAWIE PRACY W 2026 ROKU? PRACOWNICY ZYSKAJĄ

Wyższa płaca minimalna i stawka godzinowa, nowe zasady liczenia stażu pracy, 26 dni urlopu wypoczynkowego dla większej grupy pracowników – te zmiany wejdą w życie w nowym roku

Małgorzata Stempinska

Na pytania Czytelników dotyczące zmian w prawie pracy w 2026 roku odpowiada Mikołaj Supeł, referent prawny w Okręgowym Inspektoracie Pracy w Bydgoszczy.

Co się zmieni w liczeniu stażu pracy od nowego roku?
Od 2026 roku do stażu pracy będzie można doliczyć również okresy pracy wykonywanej na innej podstawie niż umowa o pracę, m.in. umowy-zlecenia, umowy agencyjne oraz prowadzenie jednoosobowej działalności gospodarczej. Zmiana ta może mieć wpływ m.in. na wymiar urlopu wypoczynkowego, dodatek za wysługę lat czy nagrody jubileuszowe. Aby doliczyć te okresy do stażu pracy, pracownik będzie musiał uzyskać z ZUS zaświadczenie w formie elektronicznej i przedstawić je pracodawcy w terminie 24 miesięcy od wejścia ustawy w życie. Po upływie tego terminu pracodawca nie będzie miał obowiązku przeliczenia stażu. Ustawa wejdzie w życie:
- 1 stycznia 2026 roku – dla sektora publicznego,
- 1 maja 2026 roku – dla sektora prywatnego.

Czy w przyszłym roku wejdą w życie jakieś zmiany dotyczące wymiaru urlopu wypoczynkowego?
Wymiar urlopu wypoczynkowego (20 albo 26 dni przy pełnym etacie) pozostaje bez zmian. Zmianie ulegną natomiast zasady liczenia stażu pracy, od którego zależy prawo do wyższego wymiaru urlopu.

Mam jeszcze 6 dni urlopu zaległego za 2025 rok. Nie zdążę go wykorzystać do końca roku. Chciałam go przenieść na czerwiec 2026 roku, bo zaległy urlop można wykorzystać do końca września. Szef się nie zgodził. Czy słusznie?
Urlop wypoczynkowy jest uprawnieniem pracownika, który wymaga uprzedniej zgody pracodawcy w oparciu o zapewnienie prawidłowej organizacji pracy. Co do zasady, powinien zostać wykorzystany w tym roku, w którym pracownik nabył do niego prawo. Pracodawca nie może nakazać pracownikowi wykorzystania bieżącego urlopu wypoczynkowego. Może jedynie zapytać o konkretny termin. Jednak gdy bieżący urlop wypoczynkowy stanie się urlopem zaległym, zgodnie z orzecznictwem Sądu Najwyższego pracodawca może odgórnie wyznaczyć termin pracownikowi.

Szef każe nam planować urlopy wypoczynkowe na 2026 rok, łącznie z dniami urlopu na żądanie. Uważam, że to nie jest zgodne z prawem. Czy mam rację?
Pracodawca może wprowadzić plan urlopów, jednak nie ma prawa żądać planowania konkretnych dni urlopu na żądanie. Urlop na żądanie ma charakter doraźny i nie powinien być planowany z wyprzedzeniem.

Urodziłam córkę 5 listopada br. Od razu zdecydowałam, że wezmę urlop macierzyński i potem rodzicielski. Chciałabym zmniejszyć wymiar urlopu rodzicielskiego. Czy mogę? Jak to załatwić?
Tak, nic nie stoi na przeszkodzie. Pracownik może łączyć życie rodzinne z życiem zawodowym. Kluczowe jest tutaj złożenie pisemnego wniosku do pracodawcy najpóźniej na 21 dni przed planowanym rozpoczęciem pracy i łączeniem jej z urlopem rodzicielskim. W treści takiego wniosku należy wskazać imię i nazwisko pracownika, obecny wymiar czasu pracy, okres przebywania na urlopie rodzicielskim oraz oświadczenie o chęci łączenia życia prywatnego z zawodowym, w której wskazuje się „nowy" wymiar etatu, który nie może być wyższy niż połowa pełnego wymiaru czasu pracy. Urlop rodzicielski łączony z pracą ulega proporcjonalnemu wydłużeniu do wymiaru czasu pracy, którą wykonuje pracownik, lecz nie więcej niż do 82 tygodni przy urodzeniu jednego dziecka przy jednym porodzie. Alternatywnie, jeżeli pracownik chce tylko przebywać na urlopie rodzicielskim, może go maksymalnie podzielić na 5 części.

FOT. NADESŁANE PRZEZ OIP W BYDGOSZCZY

Na pytania Czytelników odpowiadał Mikołaj Supeł, referent prawny w Okręgowym Inspektoracie Pracy w Bydgoszczy

Słyszałam, że rodzice wcześniaków mają więcej urlopu rodzicielskiego. Czy to prawda?
Rodzice dzieci przedwcześnie urodzonych nie mają dłuższego urlopu rodzicielskiego. Marcowa nowelizacja kodeksu pracy wprowadziła tzw. uzupełniający urlop macierzyński, który jest następstwem urlopu macierzyńskiego. Jeżeli dziecko przebywa w szpitalu z powodu problemów zdrowotnych, to de facto rodzic nie realizuje swoich uprawnień związanych z rodzicielstwem. W dużym cudzysłowie ustawodawca wprowadził zasadę „tydzień za tydzień". Dlatego też spędzony tydzień w szpitalu może zostać zrekompensowany tygodniem uzupełniającego urlopu macierzyńskiego. Rodzice dziecka – pracownicy – mogą zdecydować czy uzupełniającą część będzie sprawować matka czy ojciec. Aby móc skorzystać z tej dodatkowej części, należy złożyć wniosek na minimum 21 dni przed końcem urlopu macierzyńskiego.

Czy urlop ojcowski można wykorzystać po roku od urodzenia dziecka? Czy to nadal są 2 tygodnie?
Od 26 kwietnia 2023 roku urlop ojcowski można wykorzystać w ciągu 12 miesięcy od narodzin dziecka. Nadal są to 2 tygodnie. Do kwietnia 2025 roku byliśmy w okresie przejściowym. Ojcowie, których potomkowie przyszli na świat do 25 kwietnia 2023 roku, mogli skorzystać ze swojego uprawnienia jeszcze na starych zasadach tj. przez 2 lata. Pomimo skrócenia czasu na skorzystanie z terminu jednocześnie doszło do wydłużenia i zagwarantowania każdemu z rodziców 9 tygodni urlopu rodzicielskiego.

Czy niewykorzystana opieka na dziecko przepada?
Tak, uprawnienie przysługuje do końca roku kalendarzowego. Nie przechodzi ono na następny rok. W każdym roku pracownikowi zatrudnionemu na pełen etat przysługuje 16 godzin albo 2 dni opieki aż do ukończenia przez dziecko 14 lat.

Pracuję na pół etatu i mam 8-letnie dziecko. Czy mogę skorzystać z opieki z art. 188 kodeksu pracy i w jakim wymiarze?
Tak. Jeżeli osoba zatrudniona w niepełnym wymiarze czasu mająca dziecko do 14. roku życia pracy wybierze opiekę w godzinach, przysługuje jej wymiar proporcjonalny do etatu. Jeśli złoży oświadczenie o korzystaniu w dniach, przysługują jej 2 dni robocze, zgodnie z rozkładem czasu pracy.

Pracowałem na umowę o pracę na czas określony i dopiero w ostatnim dniu dowiedziałem się, że nie będzie przedłużenia. Czy pracodawca mógł mnie wcześniej o tym nie poinformować?
Tak. Umowa na czas określony kończy się z upływem konkretnego dnia. Żaden przepis prawa pracy nie nakłada na pracodawcę obowiązku wcześniejszego informowania o jej nieprzedłużeniu.

Czy PIP będzie mogła w 2026 r. uznać umowę B2B za umowę o pracę?
Państwowa Inspekcja Pracy ma uzyskać w przyszłym roku prawo do przekształcenia umów o charakterze cywilnoprawnym w umowy o pracę pod warunkiem, że spełniają one cechy stosunku pracy. Na dziś jest to kwestia projektodawcza. Obecnie obserwujemy ścieżkę legislacyjną.

Pracuję w galerii handlowej w jednym ze sklepów. W ostatnim czasie szef zaplanował mi pracę w każdą z niedziel handlowych. Czy tak może?
Pracodawca może zaplanować pracę w niedziele handlowe, jednak jedna z trzech niedziel poprzedzających Boże Narodzenie musi być dla pracownika wolna.

Do której godziny mogę pracować w Wigilię w piekarni?
Od tego roku, co do zasady, w Wigilię obowiązuje zakaz pracy. Piekarnie czy też cukiernie zaliczane są jednak do tzw. wyjątków od reguły. Oznacza to, że zakaz pracy w tych miejscach nie obowiązuje. Jeżeli zaś pracownik będzie miał świadczyć pracę, pracuje on zgodnie z ustalonym grafikiem.

Ile będzie wynosić minimalne wynagrodzenie w 2026 roku?
Od 1 stycznia 2026 roku minimalne wynagrodzenie za pracę wyniesie 4806 zł brutto, a stawka godzinowa – 31,40 zł brutto.

Czy wynagrodzenie zasadnicze musi być równe minimalnemu wynagrodzeniu?
Nie. Na ten moment nie weszły w życie przepisy, które nakazywałyby zrównanie wynagrodzenia zasadniczego z minimalnym wynagrodzeniem za pracę.

Zachorowałam na urlopie rodzicielskim i wzięłam 2 tygodnie chorobowego. Pracodawca nie tylko nie wypłacił mi pieniędzy za L4, ale także poinformował mnie, że urlop rodzicielski biegnie dalej. Czy ma rację? Co mogę zrobić?
Tak, pracodawca postąpił prawidłowo. Zwolnienie lekarskie przerywa jedynie urlop wypoczynkowy, natomiast nie przerywa urlopu rodzicielskiego. W czasie urlopu rodzicielskiego nie przysługuje wynagrodzenie ani zasiłek chorobowy. Z tego powodu pracodawca nie wypłaca świadczenia za L4, lecz nadal wypłacany jest zasiłek macierzyński. Dopiero gdyby urlop rodzicielski się zakończył, a pracownik nadal przebywał na zwolnieniu lekarskim, powstałoby prawo do wynagrodzenia lub zasiłku chorobowego.

OD 1 STYCZNIA 2026 ROKU MINIMALNE WYNAGRODZENIE ZA PRACĘ WYNIESIE 4806 ZŁ BRUTTO, A STAWKA GODZINOWA – 31,40 ZŁ BRUTTO

©℗

eprasa.pl 6521773fd7

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI/POLSKA PRESS

Największa aktywność na rynku transferowym dopiero przed nami. Zapewne Lech Poznań czymś nas zaskoczy...

Piłka nożna Wszystko, co musisz wiedzieć o zimowych przygotowaniach i obozach klubów ekstraklasy. Jeden kierunek wciąż tani i modny

Egzotyczna wyprawa „Kolejorza". Ruchy transferowe poczynione

Bartosz Głąb
redakcja@polskapress.pl

Na początku stycznia, przedstawiciele PKO Ekstraklasa udadzą się na zimowe obozy przygotowawcze. Aż 14 zespołów wybrało Turcję, a najbardziej wyjątkowy jest... mistrz Polski.

Otóż, przed drugą częścią rozgrywek poznański Lech będzie trenować na... Półwyspie Arabskim. Jak prezentuje się szczegółowy plan przygotowań polskich zespołów do ligowej wiosny?

Arka Gdynia - Turcja (Lara)

Arka zimowy obóz w Turcji rozpocznie 6 stycznia i zagrają tam 4 mecze sparingowe. Beniaminek do Polski wróci 22 stycznia. Potwierdzeni rywale w meczach towarzyskich to rumuński FK Csíkszereda, południowokoreański Gangwon FC oraz serbski FK Spartak Subotica.

Bruk-Bet Termalica - Turcja (miejsce nieznane)

„Słoniki" do Turcji wylecą 6 stycznia i będą tam do 17 stycznia. Podczas obozu zagrają trzy sparingi, na razie jednak brak informacji o ich rywalach. Natomiast po powrocie do Polski ekipa z Niecieczy zagra mecze towarzyskie z pierwszoligowymi Stalą Mielec i Stalą Rzeszów.

Cracovia - Turcja (Belek)

Pasy zimowy obóz w tureckim Belek rozpoczną późno, bo dopiero 10 stycznia. Na miejscu zagrają z serbskim FK Čukarički i ukraińskim Weres Równe. Krakowianie do Polski wrócą 22 stycznia, a przed ligą czeka ich jeszcze sparing z czeskim SK Artis Brno.

GKS Katowice - Turcja (Lara)

Ekipa „GieKSy" do Turcji wyleci 8 stycznia. Tam rozegra sparingi kolejno z rumuńskim Petrolul Ploiești, czeskim FK Jablonec, luksemburskim FC Atert Bissen i serbskim FK TSC Bačka Topola. Katowiczanie do kraju wrócą 22 stycznia.

Górnik Zabrze - Turcja (Belek)

Wicelider PKO Ekstraklasy zimowy obóz rozpocznie dopiero 14 stycznia. Podczas przygotowań podejmie słowackie MŠK Žilina i ŠK Slovan Bratysława oraz austriacki SV Ried 1912. Obóz zakończy się 24 stycznia.

Jagiellonia Białystok - Turcja (Belek)

Duma Podlasia do tureckiego Belek wyleci 10 stycznia. Tam zagra z austriackim Linzer ASK, bułgarskim CSKA 1948 Sofia, słoweńskim NK Maribor oraz serbskim FK Čukarički Belgrad. W przypadku białostoczan powrót do Polski zaplanowano na 24 stycznia.

Korona Kielce - Turcja (Ilica, Antalya)

„Złocisto-Krwiści" już 3 stycznia polecą do tureckiej miejscowości Ilica, gdzie spędzą tydzień. Później przeniosą się do Antalyi, a tam rozegrają cztery sparingi. Rywale to bułgarski CSKA Sofia, słowacki FC Spartak Trnava, ukraiński Dynamo Kijów oraz serbski FK Vojvodina Nowy Sad. Kielczanie do kraju wrócą 24 stycznia.

Lech Poznań - Zjednoczone Emiraty Arabskie (Abu Zabi)

Mistrz Polski jako jedyny wybierze się poza Europę. „Kolejorz" w dniach 11-25 stycznia będzie przebywać w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Poznaniacy w Abi Zabi zagrają najprawdopodobniej trzy sparingi. Lista rywali jeszcze nie została podana.

Oficjalnie zimowe okno transferowe w Polsce wystartuje dopiero 26 stycznia przyszłego roku i potrwa aż do 25 lutego

Lechia Gdańsk - Turcja (Belek)

Gdańszczanie obóz w Belek rozpoczną 8 stycznia. Na miejscu zagrają cztery mecze kontrolne. Rywale to serbskie FK Zeleznicar Pancevo i FK Mladost Lučani, bułgarski Łokomotiw Sofia oraz czeski FC Hradec Králové. Powrót do Polski zaplanowano na 23 stycznia.

Legia Warszawa - Hiszpania (Mijas)

Stołeczna drużyna na zimowy obóz wybrała hiszpańskie Mijas, gdzie będzie przebywać od 10 do 24 stycznia. Na miejscu Wojskowi zagrają cztery mecze sparingowe. Niestety, lista rywali wciąż nie została podana.

Motor Lublin - Turcja (Belek)

Zespół z Lublina przygotowania w Turcji rozpocznie 10 stycznia, a na miejscu rozegra dwa sparingi, z serbskim FK IMT Novi Belgrad oraz macedońskim FK Vardar Skopje. Motor do kraju wróci 24 stycznia.

Piast Gliwice - Hiszpania (L'Albir)

Gliwiczanie to drugi z zespołów, który istotną część zimy spędzi w Hiszpanii. Obóz w L'Albir rozpocznie się 12 stycznia i potrwa do 23 stycznia. Jedynym potwierdzonym rywalem na miejscu jest duńskie Brøndby IF.

Pogoń Szczecin - Turcja (Belek)

„Portowcy" na zimowy obóz do Turcji wybiorą się 13 stycznia. Tam zagrają z azerskim Turan Tovuz, czeskim FK Jablonec oraz serbskim FK Radnik Surdulica. Powrót do Polski zaplanowany jest na 26 stycznia.

Radomiak - Portugalia (Algavre)

Radomianie również postawili na wyjątkowość i do drugiej części sezonu będą przygotowywać się w Portugalii. Niestety, na razie nie jest znany publicznie znany termin obozu oraz lista przeciwników.

Raków Częstochowa - Turcja (miejsce nieznane)

„Medaliki" zimowe przygotowania w Turcji rozpoczną 7 stycznia. Na miejscu częstochowian czekają mecze kontrolne z mocnymi przeciwnikami. Będą to austriacki RB Salzburg, bułgarski Łudogorec Razgrad oraz serbskie Partizan Belgrad, FK Vojvodina Nowy Sad i FK TSC Bačka Topola. Podopieczni Łukasza Tomczyka do kraju wrócą 24 stycznia.

Widzew Łódź - Turcja (Belek)

Łodzianie na obóz w tureckim Belek wyruszą 8 stycznia. Tam zaplanowano cztery sparingi: z rumuńską Universitateą Cluj, węgierskim Paksi FC, czeskim Banikiem Ostrawa oraz polskim Zagłębiem Lubin. Koniec obozu zaplanowano na 23 stycznia.

Wisła Płock - Turcja (Belek)

„Nafciarze" przygotowania w Turcji rozpoczną 8 stycznia i potrwają do 22 stycznia. W Belek zagrają z rumuńskim Rapidem Bukareszt, słoweńskim NK Aluminij Kidricevo, czeskim Bohemians 1905 oraz serbskim FK Radnik Surdulica. Do Polski wrócą 22 stycznia.

Zagłębie Lubin - Turcja (Belek)

„Miedziowi" w tureckim Belek będą przebywać w dniach 9-23 stycznia. Na razie jedyny potwierdzony przeciwnik to polskie Zagłębie Lubin, ale z pewnością to nie będzie jedyny zimowy sparing.

Zimowe transfery klubów PKO Ekstraklasy

Na razie, zdecydowanie najaktywniejszym klubem na rynku transferowym jest Widzew Łódź, który przed końcem roku zakontraktował już trzech nowych zawodników.

Do łódzkiego zespołu dołączyli skrzydłowy Osman Bukari (za około 5,5 mln euro!), lewy obrońca Christopher Cheng oraz doświadczony pomocnik Lukas Lerager.

Mocny ruch przeprowadziła Korona Kielce, która podpisała kontrakt z Mariuszem Stępińskim, byłym reprezentantem Polski i zawodnikiem wielu zagranicznych klubów.

Snajper dołączył również do Arki Gdynia. Beniaminek PKO Ekstraklasy związał się umową z Łotyszem Vladislavsem Gutkovskisem.

Co jeszcze? Raków Częstochowa skrócił wypożyczenie Leonardo Rochy do Zagłębia Lubin, ale Miedziowi mogą skorzystać z opcji wykupu portugalskiego napastnika.

Ekipa z Lublina, jak i wielu innych przedstawicieli PKO Ekstraklasy z pewnością na dużo bardziej intensywne łowy ruszą dopiero z początkiem stycznia.

Kapitan Górnika Zabrze - Erik Janza i drugi z podstawowych obrońców zespołu Rafał Janicki zostaną w klubie do końca przyszłego sezonu. Wcześniej umowę z Górnikiem do końca czerwca 2029 przedłużył podstawowy czeski pomocnik drużyny Lukas Ambros.

Oficjalnie zimowe okno transferowe w Polsce wystartuje dopiero 26 stycznia i potrwa do 25 lutego.

Należy jednak pamiętać, że początek jest jedynie umowny, gdyż od tego dnia kluby mogą rejestrować nowych zawodników, a dogadywać się z nimi już teraz.

Pierwsza przyszłoroczna kolejka PKO Ekstraklasy została zaplanowana na przełom stycznia i lutego (od 30 stycznia do 2 lutego).

©℗

eprasa.pl 6521773fd7

Iga stawia na zdrowie i dobre samopoczucie

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

TENIS. **W Shenzen w pokazowym turnieju World Tennis Continental Cup Iga Świątek wróciła na kort. Rozmawiamy z Maciejem Ryszczukiem, jej trenerem przygotowania fizycznego.**

Jak wyglądały przygotowania do sezonu naszej najlepszej tenisistki?
Intensywnie, zresztą tak jak to miało miejsce przed startem poprzednich sezonów. Na ten moment Iga prezentuje się naprawdę bardzo fajnie. Jestem w stanie zaryzykować twierdzenie, że lepiej niż w poprzednich latach o tej samej porze. Mamy dobrą bazę wyjściową i zobaczymy jak to się przełoży na korcie na wyniki.

Kiedy wznowiliście treningi?
Na początku grudnia.

Nad czym pracowaliście najbardziej, jeśli chodzi o przygotowanie fizyczne Igi?
Właściwie to nad każdą z cech motorycznych. Tenis jest bardzo ogólnorozwojową dyscypliną sportu, więc pracujemy nad wytrzymałością, mocą i siłą. Staram się pracować z Igą nad tym, czego trener technicznie wymaga od zawodniczki i ja staram się jej to ułatwić.

Iga nie miała zbyt długiego rozbratu z tenisem. W połowie listopada grała jeszcze w reprezentacji Polski w Billie Jean King Cup w Gorzowie Wielkopolskim. To chyba ułatwiło wam szybki powrót na pełne obroty?
Zgadza się. Zresztą staramy się pracować regularnie przez cały rok. Nie dzielimy treningów na bloki, tylko codziennie stosujemy tak zwane mikrodozowanie. Dzięki temu potem, gdy przytrafia się właśnie taka przerwa jak teraz, to ona nie jest zbyt znacząca dla całego procesu wejścia zawodniczki w nowy sezon.

Kiedy treningi z Igą wznowił Wim Fissett?
Trener ruszył z zajęciami równolegle do moich z przygotowania fizycznego. Na początku Iga więcej czasu spędzała ze mną, a do treningów z trenerem Fissettem przystępowała nieco bardziej zmęczona. Z czasem proporcje zaczęły się zmieniać.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Iga Świątek po 40 dniach przerwy rozpoczęła przygotowania do powrotu na szczyt

Podczas turnieju w Chinach nie towarzyszył pan Idze. Nie będzie pan też obecny w Australii, gdy reprezentacja Polski w składzie z Igą Świątek oraz z Hubertem Hurkaczem będzie uczestniczyć - w dniach od 2 do 11 stycznia - w rozgrywkach United Cup. Kiedy dołączy pan do teamu Igi?
Za jej pozwoleniem oraz reszty sztabu, okres świąteczny spędzam z rodziną w domu. Do zespołu dołączę w Sydney, tuż przed rozpoczęciem wielkoszlemowego Australian Open.

Jaki cel stawia sobie sama Iga, ale też cały wasz zespół przed startem nowego sezonu? Czy będzie to powrót tenisistki na pierwsze miejsce w rankingu WTA?
Na pewno chcemy wygrywać jak najwięcej meczów i turniejów, chcemy zdobywać tytuły. A to na koniec roku będzie się przekładać na konkretne miejsce tenisistki w rankingu, dlatego zamierzamy się po prostu koncentrować na każdym pojedynczym kroku, na każdym spotkaniu i turnieju. Uważamy, że to najlepsza droga do tego, aby na koniec 2026 roku Iga była numerem jeden i najlepszą tenisistką na świecie.

Iga zapowiedziała, że w sezonie 2026 rozważy opuszczenie niektórych obowiązkowych turniejów, aby zadbać o swoje zdrowie i samopoczucie mentalne.
Takie są plany. Zawsze staraliśmy się okroić kalendarz startów na tyle, na ile możemy. Musimy słuchać ciała zawodniczki, ale też jej samej. Jeżeli w danym turnieju chce grać, to damy jej taką możliwość, choć czasami trzeba powiedzieć twarde: nie. Wszystko będzie jednak zależało od wyników, które Iga będzie osiągała oraz od jej samopoczucia w trakcie sezonu. ©℗

Aleksandra Mirosław: Długo pracowałam nad tym, aby nie mieć oczekiwań

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

WSPINACZKA. **O zakończonym sezonie oraz planach na 2026 rok, rozmawiamy z Aleksandrą Mirosław, mistrzynią olimpijską i dwukrotną mistrzynią świata we wspinaczce sportowej na czas.**

Co zmieniło się w pani życiu, ale też dla wspinaczki sportowej w Polsce po ostatnich sukcesach?
Bardzo dużo. Przede wszystkim nasza dyscyplina bardziej zakorzeniła się w świadomości i głowach polskich kibiców. Osób, które wspinają się w naszym kraju rekreacyjnie jest bardzo dużo, a po ostatnich igrzyskach jest ich jeszcze więcej.

Powstał też plan budowy w Krakowie Centrum Przygotowań Olimpijskich pod kątem tylko wspinaczki sportowej.
Rozmawiałam na ten temat z ministrem sportu panem Jakubem Rutnickim i wiem, że odbyły się w tej sprawie także rozmowy z prezydentem Krakowa. Będę w tym projekcie uczestniczyła, służąc radą, pomocą i swoim doświadczeniem. Jestem przekonana, że to dobre decyzje, które w przyszłości zaowocują.

W tym roku zorganizowała pani wyjątkowe zawody wspinaczkowe dla dzieci, w których wzięło udział prawie tysiąc osób. Na wspinaczkę sportową w Polsce jest moda?
- UP! Games to projekt, który od dawna chodził mi po głowie. Chciałam stworzyć inicjatywę, dzięki której dzieci będą mogły spróbować wspinaczki w bezpiecznej i przyjaznej atmosferze, a przy tym poczuć emocje prawdziwej rywalizacji. Ruszyliśmy z projektem w Krakowie, a w przyszłości chcemy go rozwijać w kolejnych miastach w całej Polsce. Teraz duża rola trenerów i instruktorów, aby zachęcać dzieci do uprawiania tej pięknej dyscypliny, fajnie ich poprowadzić. Ważne, aby pokazali im, że na tym etapie rywalizacja to fajna zabawa.

W kończącym się roku zanotowała pani kolejne spektakularne sukcesy, zdobywając mistrzostwo świata i Europy, bijąc przy tym własny rekord świata (6,03 s) podczas zawodów w Seulu. Wszystkie sportowe marzenia udało się zrealizować?

FOT. WOJCIECH MATUSIK

Polska mistrzyni, Aleksandra Mirosław, przyznaje, że po igrzyskach w Paryżu miała syndrom postolimpijski

Długo pracowałam nad tym, aby nie mieć oczekiwań. W sezonie po igrzyskach musiałam trochę przepracować podejście, że teraz muszę wszystkim udowodnić, że złoty medal na igrzyskach nie był przypadkowy, że powinnam się w ogóle znaleźć w Paryżu. Przez pierwsze pół roku pracowałam przede wszystkim nad swoim nastawieniem mentalnym przed tegorocznymi zawodami. Musiałam się na nowo odnaleźć w rzeczywistości poolimpijskiej, aby tamten etap definitywnie zamknąć.

Czas pokazał, że udało się pani znakomicie.
Zrobiliśmy to razem z całym moim zespołem. Z trenerem i mężem Mateuszem, psycholożką Darią Abramowicz oraz menadżerem. Na mistrzostwa świata do Seulu wyjechałam w pełni gotowa i cieszę się, że zakończyło się sukcesem, a mój występ był przyjemny do oglądania.

Niedawno przyznała pani, że odczuwała wręcz strach, co będzie po igrzyskach.
W psychologii to się nazywa syndrom postolimpijski. Cierpią na niego nie tylko sportowcy, ale też ludzie, którzy są blisko nich, trenerzy, współpracownicy, członkowie zespołu, którzy wspierają zawodników w dążeniu do celów. To było ogromne wyzwanie. Moja psycholog jest jednak bardzo doświadczona i doskonale wiedziała, że to nastąpi, była na to przygotowana. Przeprowadziła mnie przez ten miniony sezon w najlepszy możliwy sposób. Na pewno bez wsparcia psychologa, czy mojego trenera nie dałabym rady i nie cieszylibyśmy się z kolejnego złotego medalu na dużej imprezie.

Jak wygląda współpraca z Darią Abramowicz?
Różnie. Czasami spotykamy się na żywo, czasami zdalnie. Jest dla mnie dostępna, gdy tego potrzebuję. Jeśli potrzebuję przegadać jeszcze jakieś sprawy przed samym startem, to też służy mi pomocą.
W Seulu miałam szczęście, bo w tym samym czasie Daria była z Igą w tym samym miejscu, odbywał się tam tenisowy turniej WTA i mogłyśmy się spotkać. Podobnie było podczas igrzysk w Paryżu, mogłyśmy dopracować ostatnie szlify w cztery oczy. Nigdy nie odczułam, że jestem zepchnięta na dalszy plan i nie ma dla mnie przestrzeni na pomoc. Wręcz przeciwnie, Daria Abramowicz zawsze jest gotowa i otwarta na moje potrzeby.

Po sezonie udało się odpocząć?
Na początku października miałam dwa tygodnie wolnego tylko dla siebie i mogłam się zregenerować. Jestem już po pierwszym cyklu przygotowań do startów w nadchodzącym 2026 roku.

Jakie ma pani plany na kolejny sezon?
Podejdę do niego z dużym zaciekawieniem. Zobaczymy, co się wydarzy. Imprezą docelową będą dla mnie mistrzostwa Europy oraz zawody Pucharu Świata, które w pierwszy weekend lipca odbędą się w Krakowie.
©℗

eprasa.pl 6521773fd7

Kobayashi i Prevc głównymi bohaterami TCS?

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **Na dziś zaplanowano pierwszy konkurs 74. Turnieju Czterech Skoczni. Zmagania zainaugurowane zostaną w Oberstdorfie.**

FOT. PAP/EPA/URS FLUEELER

Ryoyu Kobayashi przed świętami wygrał w Engelbergu, teraz powalczy o triumf w TCS

To już siódmy rok z rzędu, gdy rywalizacja (nie licząc kwalifikacji) w najbardziej znanej imprezie świata skoków narciarskich rozpocznie się tego samego dnia, a więc dwa dni przed sylwestrem. Wcześniej daty bywały różne, zazwyczaj początek wyznaczano w terminie 28-30 grudnia, w początkowych edycjach zdarzyło się jednak, że pierwszy konkurs odbył się 27 grudnia, w ostatni dzień roku, a nawet 1 stycznia (wówczas inauguracja odbyła się w Garmisch-Partenkirchen).

W historii turnieju zapisało się z różnych względów wielu skoczków. Jednym z nich jest Adam Małysz, który w sezonie 2000-01 jako pierwszy Polak zakończył niemiecko-austriackie zmagania na pierwszej pozycji. W kolejnym wielkiego wyczynu dokonał Niemiec Sven Hannavald, który jako pierwszy wygrał słynną imprezę, kończąc zwycięstwem każde pojedyncze zawody. Jego osiągnięcie w późniejszym czasie powtórzyli jeszcze Kamil Stoch (sezon 2017-18) i Ryoyu Kobayashi (sezon 2018-19).

Wspomniany Japończyk, który jest wymieniany jako jeden z faworytów najbliższej edycji turnieju, w jego historii zapisał się w jeszcze jeden niepowtarzalny sposób. Otóż w sezonie 2023-24 okazał się w łącznej klasyfikacji najlepszy, a każdy z czterech konkursów kończył na... drugiej pozycji.

Kto jeszcze może powalczyć o miano najlepszego w tegorocznej prestiżowej imprezie? Z pewnością Domen Prevc, który zanotował bardzo udany początek sezonu, wygrał pięć z rzędu konkursów (seria została przerwana przed świętami przez Ryoyu w Engelbergu) i jest liderem klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Słowenia czeka na triumf od sezonu 2015-16, gdy najlepszy okazał się... brat aktualnego dominatora - Peter.

Na przełamanie złej serii liczą także Niemcy - od spektakularnego triumfu Hannavalda 24 lata temu żadnemu innemu skoczkowi z tego kraju nie udało się wygrać Turnieju Czterech Skoczni. Nasi zachodni sąsiedzi szansy tym razem upatrują w osobach Philippa Raimunda i Felixa Hoffmanna, którzy dobrze poczynali sobie w grudniowych zawodach Pucharu Świata.

Jeśli chodzi o Biało-Czerwonych, którzy dotychczas pięć razy okazywali się najlepsi (trzy razy Stoch, po razie Małysz i Dawid Kubacki), nie ma podstaw ku temu, by liczyć na to, iż nasz przedstawiciel włączy się do walki o wygraną. Jeśli już ktokolwiek mógłby namieszać, to jedynie Kacper Tomasiak, który zaskakująco dobrze poczyna sobie w Pucharze Świata i coraz śmielej spogląda w kierunku podium, wydaje się jednak, że jeszcze nie będzie w stanie popsuć plany faworytom. Z drugiej strony - skoro ćwierć wieku temu skutecznie o triumf powalczył aktualny prezes Polskiego Związku Narciarskiego, na którego przed startem zmagań w zasadzie nie stawiano, dlaczego w jego ślady nie miałby pójść trzynasty obecnie skoczek w Pucharze Świata?

Kadrę Biało-Czerwonych oprócz Tomasiaka tworzą Stoch, Piotr Żyła, Paweł Wąsek i Maciej Kot. Zmagania odbywać się będą w parach utworzonych na podstawie kwalifikacji (zwycięzca z ostatnim, drugi z przedostatnim, itd.). Zwycięzca każdej z par wywalczy awans do serii finałowej (25 skoczków), a stawkę uzupełni pięciu tzw. szczęśliwych przegranych (z najwyższą notą). ©℗

Plan Turnieju Czterech Skoczni

29 grudnia (godz. 16.30): Konkurs w Oberstdorfie (Niemcy)
31 grudnia (godz. 16.00): Kwalifikacje w Garmisch-Partenkirchen (Niemcy)
1 stycznia (godz. 14.00): Konkurs w Garmisch-Partenkirchen (Niemcy)
3 stycznia (godz. 14.30): Kwalifikacje w Innsbrucku (Austria)
4 stycznia (godz. 13.30): Konkurs w Innsbrucku (Austria)
5 stycznia (godz. 16.30): Kwalifikacje w Bischofshofen (Austria)
6 stycznia (godz. 16.30): Konkurs w Bischofshofen (Austria)

Nawet Mikaela Shiffrin nie dała rady

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

NARCIARSTWO ALPEJSKIE. **W Semmering, w austriackich Alpach, Maryna Gąsienica-Daniel zajęła 5. miejsce - najwyższe w karierze - w slalomie gigancie zaliczanym do klasyfikacji generalnej PŚ**

FOT. JOHN LOCHER/AP/EAST NEWS

- To była trudna trasa, bardzo wyboista, ale trzeba było atakować od początku do końca - stwierdziła na mecie

Po pierwszym przejeździe, Polka była dopiero dwunasta, ale w drugim pojechała fantastycznie, uzyskując trzeci czas (szybsze były tylko Austriaczka Nina Astner i Camille Rast ze Szwajcarii).

Fenomenalnej Amerykance Mikaeli Shiffrin, która aż 105 razy wygrywała zawody Pucharu Świata, „dołożyła" prawie pół sekundy. Piąte w tym sezonie zawody w tej konkurencji wygrała inna Austriaczka Julia Scheib.

Drugi przejazd slalomu giganta w Semmering, zdominowała dość niespodziewanie Nina Astner. Austriaczka po pierwszej próbie była 30., ale ostatecznie awansowała na najwyższą w karierze 12. lokatę.

Maryna Gąsienica-Daniel po raz pierwszy od prawie trzech lat znalazła się w czołowej „dziesiątce" elitarnego cyklu. Ostatnio udało jej się to w marcu 2023 roku w Andorze, gdzie była ósma. Rekordowe dotychczas wyniki osiągała w latach 2021-2022, kiedy czterokrotnie zajęła 6. miejsce

Triumfatorka zawodów, Austriaczka Julia Scheib uzyskała 0.14 sekundy przewagi nad Szwajcarką Camille Rast oraz 0.40 sekundy nad mistrzynią olimpijską z Pekinu w tej konkurencji, Szwedką Sarą Hector, która prowadziła po pierwszym przejeździe.

Gąsienica-Daniel straciła do zwyciężczyni 1.36 sekundy. Amerykanka Mikaela Shiffrin była wolniejsza od Polki w dwóch przejazdach o 0.09 sekundy...

Następny gigant zaplanowano na 3 stycznia w słoweńskiej Kranjskiej Gorze. Później rywalizacja w tej konkurencji odbędzie się jeszcze dwukrotnie przed startem XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich - 20 stycznia we włoskim Plan de Corones (Kronplatz) oraz cztery dni później w czeskim Szpindlerowym Młynie.

27 marca 1982 roku, we francuskim Montgenèvre, Dorota Tlałka po raz pierwszy stanęła na podium zawodów PŚ, zajmując 3. miejsce w slalomie.

14 grudnia 1984 roku, w Madonna di Campiglio wygrała już tej rangi imprezę (slalom). ©℗

Świątek zagrała pokazowo w Chinach

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Iga Świątek zakończyła występy w pokazowym turnieju World Tennis Continental Cup w chińskim Shenzhen. Polka wygrała jeden mecz i doznała dwóch porażek.

Przed wylotem do Chin, raszynianka rozegrała ostatni mecz 16 listopada w ramach „Billie Jean King Cup". Zatem wolne od tenisa trwało dość długo, bo 40 dni. W swoim pierwszym występie w Azji, wiceliderka rankingu WTA wygrała z Jeleną Rybakiną 6:3, 6:3. Pierwszy set zaskakująco łatwo padł łupem Igi. Polka szybko wypracowała sporą przewagę (5:1), a łącznie straciła tylko trzy gemy. Druga część pojedynku była już znacznie bardziej wyrównana, a kluczowy moment nastąpił przy stanie 4:3 dla wyżej klasyfikowanej tenisistki - piłka po zagraniu Świątek szczęśliwie przedostała się na drugą stronę kortu, zapewniając naszej tenisistce przełamanie. Kolejny gem, w którym to raszynianka serwowała, okazał się być ostatnim.

- Turnieje pokazowe są okazją, by próbować grać coś nowego. Dziś zagrałam pierwszy wygrywający skrót prawdopodobnie od sześciu lat, ale w najbliższym czasie raczej zbyt wiele w moim wykonaniu ich nie będzie. Dziękuję kibicom za przybycie i oglądanie naszej rywalizacji - powiedziała po spotkaniu Świątek.

W swoim drugim meczu, raszynianka nie sprostała Chince Wang Xinyu, przegrywając 2:6, 3:6. Świątek i Wang w oficjalnych meczach spotkały się dotychczas tylko raz. W 1/16 finału French Open w 2023 roku Polka zwyciężyła 6:0, 6:0. W Chinach musiała tym razem uznać wyższość rywalki, która zajmuje 57. miejsce w rankingu WTA.

W trzecim i ostatnim występie przed chińską publicznością, reprezentantka Polski zagrała w mikście z Monakijczykiem Valentinem Vacherotem. Ich rywalami byli Kazaszka Jelena Rybakina i Rosjanin Andriej Rublow. Polsko-monakijski duet przegrał 4:6, 4:6. Po tym spotkaniu drużyna Europy, którą reprezentowała Świątek, przegrywała z zespołem Reszty Świata 7:12. Oznaczało to, że tenisiści ze Starego Kontynentu nie mogli już wygrać turnieju. Organizatorzy postanowili jednak, że odbędzie się ostatnie z zaplanowanych spotkań, w którym Rublow miał zmierzyć się z Włochem Flavio Cobollim.

Podczas pokazowego turnieju w Chinach, nasza tenisistka była liderką zespołu z Europy, w którym grali ponadto Valentin Vacherot z Monako, Szwajcarka Belinda Bencić i Flavio Cobolli z Włoch. Team World tworzyli Jelena Rybakina, Andriej Rublow z Rosji oraz Chińczycy Zhang Zhizhen i Wang Xinyu.

Prosto z Chin najlepsza z polskich tenisistek poleci do Australii, gdzie 2 stycznia rozpocznie się turniej drużyn mieszanych United Cup. Polacy w grupie zmierzą się z Niemcami i Holandią. W składzie Biało-Czerwonych znaleźli się ponadto Hubert Hurkacz, Katarzyna Kawa, Katarzyna Piter, Jan Zieliński i Daniel Michalski. Polka po raz pierwszy na korcie pojawi się w poniedziałek, 5 stycznia. Tego dnia zagra premierowy mecz, pierwszy w regularnym sezonie, a jej rywalką będzie Niemka Eva Lys. Polacy w dwóch poprzednich edycjach United Cup dotarli do finału - w 2024 roku przegrali z Niemcami, a w bieżącym z Amerykanami, którzy będą bronić tytułu w mistrzowskim składzie, z Coco Gauff i Taylorem Fritzem na czele. Turniej rozgrywany będzie w Sydney i Perth, zakończy się 11 stycznia. ©℗

eprasa.pl 6521773fd7

FOT. SZYMON GRUCHALSKI

Adrianna Sułek-Schubert pół roku po porodzie zajęła 12. miejsce w 7-boju na igrzyskach olimpijskich w Paryżu

Lekkoatletyka Adrianna Sułek-Schubert o macierzyństwie, depresji, walce o powrót do formy i nadziejach na medal w HMŚ w Toruniu

Ada Sułek-Schubert: Chciałabym, aby syn walczył o marzenia jak ja

Joachim Przybył
redakcja@polskapress.pl

Nasza najlepsza wieloboistka zmierzyła się z depresją, uczyła się od nowa swojego ciała po narodzinach dziecka, a teraz będzie naszą medalową nadzieją w halowych mistrzostwach świata.

Pasuje Pani nowa bieżnia w ukochanej hali w Toruniu? Już sprawdzona?
Oczywiście! Nie odczuwam specjalnie różnicy między nawierzchniami na całym świecie, ale ta akurat jest dla mnie wyjątkowa, sprężynująca i mięciutka.

Czyli spodziewamy się superwyników w Toruniu w marcu podczas mistrzostw świata?
Ten sezon halowy ma być dla mnie takim nowym otwarciem w karierze. Chcę zamknąć klamrą to, co działo się w ostatnich miesiącach, zwłaszcza to, co dotyczyło ciąży i narodzin synka. Liczę, że fizjologicznie moje ciało zapomni już o doświadczeniach porodu.

Ma Pani za sobą trudny okres, wyznanie o depresji, walkę z chorobą i o powrót do formy. Czego Panią nauczył ten czas?
Każdy kij ma dwa końce i dziś nie jestem w stanie powiedzieć, czy ten cały trudny okres w moim życiu mnie wzmocnił, czy osłabił. Wiem jedno: nie życzę tego nikomu. Nie spodziewałam się, że coś takiego może spotkać takiego pozytywnego zapaleńca, jak ja, który zawsze z optymizmem patrzył w przyszłość i czekał na kolejne wyzwania. Po porodzie miałam sześć miesięcy na przygotowania do igrzysk. Byłam jak zaprogramowany robot i wydawało mi się, że dobrze będzie odsunąć od siebie wszystkie emocje. Dziś wiem, że to był błąd.

To była wyłącznie kwestia ukrywanych emocji? Trzeba było też chyba nauczyć się na nowo swojego ciała?
Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jaką transformację przeszło moje ciało po porodzie. Musiałam się zmierzyć ze słabościami, których wcześniej nie znałam. Nagle najprostsze ćwiczenia na mięśnie brzucha stały się niesamowicie trudne, więc ten czas uświadomił mi, jak ważne jest dbanie o aspekt psychologiczny. Do tej pory koncentrowałam się na sporcie i treningach, teraz już wiem, że równie ważne są kwestie poza sportowe. Nauczyłam się odpoczywać, unikać niepotrzebnego pośpiechu, znajdować czas na zwykłe codzienne czynności, jak choćby spokojne śniadanie. Nauczyłam się cieszyć nie tylko z medali, ale celebrować małe radości życia codziennego. Zdałam sobie sprawę, jak wiele szkody może wyrządzić zbyt wielka ambicja; przecież nadszedł moment, że srebrne medale mnie rozczarowywały i dołowały! Po tych kilkunastu miesiącach wróciły marzenia, żeby zdobyć jakikolwiek medal na arenie międzynarodowej, i to naprawdę miłe i motywujące uczucie.

Napisała Pani po porodzie: „Codziennie patrzę w lustro i odpowiadam twierdząco na pytanie, czy chcę być sportowcem". To pytanie wracało każdego ranka?
Ten okres cały czas odciska na mnie piętno, cały czas mierzę się ze strachem, że to wszystko wróci. Depresja to podstępny wróg – dziś jest lepiej, świeci słońce, ale nigdy nie wiadomo, jaki będzie kolejny dzień. Przede wszystkim mam teraz świadomość tego zagrożenia i mam wokół siebie ludzi, którzy też o tym wiedzą i na bieżąco monitorują stan mojego zdrowia. Nie muszę niczego udawać. Bardzo pomaga mi dom i rodzina, nauczyłam się czerpać siłę z macierzyństwa. Wiem, że okres niemowlęcy z Leonem przeminie i już nie wróci, więc nie chcę też, aby zbyt wiele rzeczy mi umknęło. To czas refleksji i dojrzewania emocjonalnego. Mam wrażenie, że sportowo bardzo szybko dojrzałam i dorosłam, ale teraz wiem, że nie nadążała za tym moja dojrzałość psychiczna i emocjonalna. Z wielu rzeczy nie zdawałam sobie sprawy, brakowało mi świadomości, jak wiele z nich jest ulotnych i o jak wiele warto dbać także poza sportem.

> **Nauczyłam się odpoczywać, unikać niepotrzebnego pośpiechu, znajdować czas i radość w zwykłych codziennych czynnościach**

Jest Pani osobą niesamowicie ambitną. Najtrudniej było się przyznać przed samą do słabości, do tej choroby?
Bardzo długo starałam się jej w ogóle nie dostrzegać. Dopiero gdy wyszłam w połowie pierwszego, drugiego, piątego treningu, nagle zaczęło do mnie docierać, że dzieje się coś niedobrego. Przez 15 lat trenowania siatkówki i lekkiej atletyki to mi się nigdy nie zdarzyło. Bardzo brakowało mi kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać, kto wszystko zrozumiałby. Moim psychologiem jest mężczyzna, moim trenerem jest mężczyzna, jest bardzo blisko mąż, ale płeć przeciwna nie jest chyba w stanie tak do końca zrozumieć zmian, jakie zachodzą w ciele i umyśle kobiety po urodzeniu dziecka. Często rozmawiałam z Jessicą Ennis-Hill, ale ona później zdecydowała się na macierzyństwo i więcej czasu dała sobie na powrót do sportu. Wierzę, że mnie uda się wrócić na najwyższy poziom i będę mogła wykorzystać wszystkie swoje doświadczenia, aby pomóc innym sportsmenkom z tym wszystkim sobie lepiej poradzić. Może dzięki temu więcej dziewczyn szybciej zdecyduje się na macierzyństwo? Bo to tak naprawdę piękna przygoda, bardzo wymagająca, ale piękna.

Może teraz, z perspektywy czasu, trzeba było zrezygnować z tego szalonego wyścigu o start w Paryżu i powoli wracać do dużego sportu?
Igrzyska to największe marzenie chyba każdego sportowca i jak miałabym z tego zrezygnować? Nie żałuję tego! Myślę, że dzięki tej ciężkiej pracy przez te kilka miesięcy przed igrzyskami znacznie łatwiej mi teraz budować formę na kolejne sezony. To mnie zmobilizowało do wykorzystania tego czasu i mam wrażenie, że bez tego olimpijskiego deadline'u mój powrót do dużego sportu znacznie by się przeciągnął.

Dojrzałe macierzyństwo pomaga w sporcie?
Tego bym nie powiedziała. Na pewno pomaga sama obecność dziecka, lekcja organizacji życia, szanowanie nowych priorytetów, ale godzenie przygotowań do siedmioboju z życiem zaangażowanej mamy to niesamowite wyzwanie. Bez wsparcia najbliższych absolutnie nie dałabym rady. Za dwa, trzy lata Leon będzie już w pełni świadomy tych wszystkich wydarzeń i na pewno będzie szczęśliwy, widząc mamę, która realizuje swoje pasje i marzenia na bieżni. W ten sposób chcę go także uczyć, żeby walczył o własne cele i marzenia, chciałaby, aby on był taki sam.

Co trzeba poprawić, żeby na mistrzostwach świata powalczyć o medal?
Wszystko! Bez skoku wzwyż na bardzo wysokim poziomie nie będzie wyniku, który da mi szanse na podium. Płotki mam ustabilizowane i potrzebują tylko szlifów, tego talentu nie straciłem. Zmiany fizjologiczne po porodzie w największym stopniu odbiły się na skokach: stopy trudniej radzą sobie ze zmęczeniem i noga tak „nie oddaje". Skok w dal był dla mnie zawsze najprzyjemniejszy w hali, a teraz brakuje mi trochę energii pod stopą, ale wierzę, że w kilka miesięcy zdołam wrócić do dawnych nawyków. To brzmi trochę kuriozalnie, ale teraz najpewniej czuję się w pchnięciu kulą, mam solidne podstawy do pchania 14,5 metra, to mój jedyny rekord życiowy, który poprawiłam po ciąży i kolejny dowód, jak zmieniło się moje ciało. A bieg na 800 m? Jak trzeba będzie wykręcić 2,03 i gryźć tartan w Toruniu, to będę gryzła (śmiech). Nigdy nie zawiodłam w ostatniej konkurencji. Moi kibice w hali w Toruniu, syn na trybunach – to będzie motywacja, jakiej nie będzie miała żadna z moich rywalek.

Była Pani przez kilka sekund posiadaczką halowego rekordu świata. Atak na taki wynik jest realny w tym sezonie?
Na pewno chodzi mi to po głowie, ale najpierw jest do pobicia rekord Polski, czyli 5015 punktów. Taki wynik wymaga optymalnej dyspozycji i wykorzystania wszystkich możliwości w pięciu konkurencjach. Chciałabym w tym starcie wykorzystać wszystkie swoje doświadczenia z poprzednich sezonów, ale wiem, że to będzie niesamowicie trudne. Nie chcę w tej chwili deklarować ani rekordu Polski, ani medalu w mistrzostwach świata. Wiem już, że pięciobój będzie stał w Toruniu na niesamowitym poziomie – rozmawiałam z Anną Hall i Nafissatou Thiam, obie bardzo poważnie podchodzą do tych zawodów. Wszystkie trzy pokonałyśmy 5000 punktów i ta rywalizacja będzie szła na noże. ©℗

eprasa.pl 6521773fd7

MAGAZYN

SPORTOWY 24

Aleksandra Mirosław - jedyna polska mistrzyni olimpijska z Paryża, w rok 2026 spogląda z... zaciekawieniem. Za sobą ma niełatwy czas STR. 21

FOT. SZYMON GRUCHALSKI/POLSKA PRESS

Od oczekiwań też kiedyś trzeba uciec

SKOKI NARCIARSKIE: STARTUJE 74. EDYCJA TURNIEJU CZTERECH SKOCZNI
STR. 22

Rozkład jazdy klubów PKO Ekstraklasy podczas przygotowań do rundy rewanżowej
STR. 20

Na halowe mistrzostwa świata w lekkiej atletyce zaprasza Ada Sułek-Schubert
STR. 23

eprasa.pl 6521773fd7